



12 STRON DO CZYTANIA

Ostrzegamy: Nie kupisz tego numeru DZIŚ
- będziesz go daremnie szukać JUTRO
- a nikt nie zechce Ci pożyczyć!

Dla większej jasności rysunek należy zinterpretować. Pierwszy numer „Kamena” ukazał się w 1931 roku i kosztował 50 gr., co stanowiło mniej więcej równowartość 8 jajek. Obecnie „Kamena” kosztuje 10 zł, za którą to sumę często nie można nabyć jednego jajka...
A/s. Zbigniew Strzałkowski

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Rok założenia 1933

Kamena

NR 1 (746)

11 - 24 kwietnia 1982

CENA 10 ZŁ



Ojczyźnie - spokoju
Czytelnikom - optymizmu
życzy „kamena”
nie tylko
z okazji Świąt

Fot: Waldemar Stępień

Biore z tobą ślub...

Tadeusz Jasiński

TU się ulica pali, domy się palą, a my tak środkiem tej ulicy, żeby czasem nam na głowę coś nie spadło. Boimy się, żeby nie upadło coś na nas i nie popaliło. Naraz straszny wiatr powiał. Odwracam się i pytam kanonierów moich:
- Co to jest, że taki wiatr?
- Musi to być morze - odpowiadają.
I tak doszliśmy do portu.
Pochodzę z tarnopolskiego województwa, ze wsi Stryjówka, powiat Zbaraż. Kto czytał trylogię Henryka Sienkiewicza, to wie, gdzie to jest, bo ja mieszkał blisko tych bagienek, gdzie chorąży Jan Skrzetuski przedzierał się przez zaporoskie wojska

do króla Wazy Daleko stamtąd do Lubogoszczy, do tych czternastu hektarów, które tu moja Marysia wybrała przed prawie trzydziestu laty, kiedy zajechali koleją do Sławy. Nie był to jeszcze powiat wschowski, ale glogowski. Tak. Tu też jeziora, ale ziemia suchsza, nie ma moczarów, nie ma takich bagienek, jak tam, gdzie musiał przedzierać się Skrzetuski.

I na nowo powiało tak mocno. Ale mgła była. Nic ja nie widział. I znowu pytam, ale jednego oficera. A tamten weselo tak jakoś do mnie:
- Co to jest? Morze! Przyszliśmy do morza!

Dokończenie na str. 6-7

PILNY TELEGRAM

uwaga czytelnicy stop wychodząc naprzeciw waszym pragnieniom wyrażanym w listach rozpoczynamy w tym numerze druk fragmentów dwóch książek stop pierwsza jest dzisiaj nieosiągalna stop nabycie drugiej z uwagi na serial telewizyjny o królowej bonie stanowi też kolosalny problem stop są więc niemcewicz od przodu i tyłu karola zbyszewskiego i barbara radziwiłówna zbigniewa kuchowicza wydana nakładem wł stop od waszego zainteresowania zależy ile tych fragmentów ukaże się na lamach kamena stop czekamy na opinię a na razie życzymy przyjemnej lektury stop

Z BOLESŁAWEM ĆWIKŁĄ po 13 grudnia

rozmawia Marek A. Jaworski

- Ponad rok temu, w numerze z 15 marca, „Kamena” opublikowała pana oświadczenie, złożone w lutym na zebraniu przedstawicieli komisji zakładowych „Solidarności” w Domu Kultury „Kolejarz” w Lublinie. Na znak protestu przeciwko niektórym poczynaniom Związku złożył pan rezygnację z funkcji wiceprzewodniczącego i członka MKZ Regionu Środkowo-Wschodniego. We wrześniu poposedł pan jeszcze dalej i wystąpił z szeregowo „Solidarności”. Jak pan dzisiaj ocenia obie te decyzje?

- Pierwsze pytanie i już dla mnie kłopotliwe, muszę bowiem mówić o sobie, a tego nie lubię. W każdym ruchu, a szczególnie w ruchu związkowym czołową rolę powinni odgrywać członkowie, wszyscy członkowie, a nie jednostki. To był jeden, podkreślam - jeden z błędów „Solidarności”, który doprowadził do jej załamania. Od samego początku byłem nastawiony krytycznie do poczynania osób, które rościły sobie pretensje do narzucania swoich poglądów innym. Ludzie ci nie mieli nic wspólnego z robotnikami, na naszych karkach chcieli robić kariery, liczył się ich interes osobisty i realizacja własnych celów politycznych. Ile to energii zużyto na walkę z partią, z rządem! Każda decyzja rządowa, właśnie dlatego, że wyszła od rządu, spotykała się z niechęcią i wrogością. Przy każdej okazji sięgano po broń strajkową, której działanie jest przecieź obojętne. Wystarczył te-

Dokończenie na str. 3

31 III. W połowie marca zapadła decyzja o wznowieniu wydawania „Kamena”. Wróciliśmy więc z urlopów, lub — jak ja — z gościnnego „Sztandaru Ludu”, który to dziennik starałem się w tych trudnych chwilach wspierać swoim skromnym piórem. Będę wspominał ten okres i z odrobiną sentymentu: znów poczułem się dziennikarzem, który odpowiada wyłącznie za siebie. Odpowiedzialność redaktora naczelnego jest daleko większa, chociaż funkcja ta ma i swoje dobre strony. Zresztą redaktorowi naczelnemu nikt pisać nie zabrania; we własnym piśmie na przeskodzie stoi jedynie brak miejsca — nie należy być zresztą egoistą... Ale drukować można w Polsce wszędzie!

Niektóre pisma, wznowione przed „Kamena”, zamieszczały w pierwszych numerach coś w rodzaju „słowa od redakcji”. Nie widzę potrzeby, aby czyniła to „Kamena”, choć od siebie chciałbym kilka słów napisać. Wydaje mi się, że pismo, a nie jest to przecież ocena tylko moja, zachowało w okresie posierpniowym zdrowy rozsądek, aczkolwiek zawsze było otwarte dla wielości poglądów. W moim „notatniku” nie raz wyrażałem obawy co do kierunku przeobrażeń w Polsce. W grudniu ub. r. wydarzenia zaczęły się już toczyć lawinowo. I armia — jak to trafnie ujął w rozmowie ze mną Bolesław Cwikła (vide: str. 3) — nacisnęła na hamulec...

Wznawiamy wydawanie „Kamena” w roku 1982. Podkreślam ten fakt, bo przecież już we wrześniu br. wkroczyliśmy w pięćdziesiąty rok istnienia, a samo pięćdziesięciolecie pisma przypadnie na wczesny rok przyszłego. Ojciec mój zapewne nigdy nie przypuszczał — mówił zresztą o tym wielokrotnie — że „Kamena” przetrwa nawet lat czterdzieści, że nie złamią jej żadne burze i kataklizmy, których w tym półwieczu nie brakowało.

Na zebraniu redakcyjnym zastanawialiśmy się, co uczynić, aby pismo mogło w nowych warunkach spełniać swoją rolę kulturotwórczą, służebną dla regionu, aby było czytane i kupowane. Tak — kupowane. „Kamena” ukazuje się średnio w 20-tysięcznym nakładzie, kosztuje 10 złotych, ale mimo tego przynosi deficyt. Gdyby nakład — oczywiście przy założeniu, że będzie papier — wzrósł do 25, a może 30 tysięcy egzemplarzy, wówczas można by — jak to się mówi — wyjść ewentualnie na zero.

Nie ma co ukrywać: chęlibyśmy tego bardzo, chociaż w ramach Lubelskiego Wydawnictwa Prasowego RSW „Prasa—Książka—Ruch”, które jest wydawcą wielu pism, całość jakoś powinna się zbilansować. Co za przyjemność słyszeć jednak (ewentualnie, oczywiście...) od kolegów z dzienników, że „jesteście na naszym garnuszku”. Rywalizację z dziennikami wygrać trudno, chociaż starać się — jak to jest w pewnym dowcipie — zawsze można...

Będziemy dążyć do zdobycia nowych czytelników, licząc na to, że czytelnicy starzy nadal pozostaną wierni „Kamena”. Wykluczają się wśród nas jakieś pomysły, chociaż za wcześnie jeszcze, by o nich

mówić. Zapewne większą uwagę poświęcimy problemom literackim, osobiście nie chciałbym jednak, by to była literatura eklektyczna, dostępna dla określonego, niezbyt liczego, kręgu odbiorców.

Kiedy spogląda się dziś na kioski i widzi, ile pism, które dawniej sprzedawano dosłownie spod lada, leży, ciarki — mówię uczelnie — przechodzą po grzbiecie. Konkurencja jest wielka, a będzie jeszcze większa, i o utrzymanie się na rynku trzeba walczyć wszelkimi metodami. Reforma gospodarcza dotyczy i prasy, chociaż ciągle jest obawa, aby dziecko nie zostało wylane wraz z kąpielą. Do kultury, wydaje mi się, zawsze trzeba dopłacać — sądzę jednak, że cały zespół „Kamena” na własnym podwórku chętnie zadabry kłam temu twierdzeniu z powodów, o których wyżej...

W następnym numerze m. in. artykuł IRENEUSZA J. KAMIŃSKIEGO o błędach przy rewaloryzacji Starego Miasta w Lublinie

Po okresie niewydawania pisma należałoby się czytelnikom pewne sprawy wyjaśnić.

Pierwsza — to konkurs dla reporterów. Otrzymałoby dotychczas prace dwóch autorów. Słabutkie — orzekam to z całą odpowiedzialnością, nie czekając na werdykt jury. Ale może nie należy — biorąc pod uwagę, że czas był nienormalny — zniechęcać się. Gotowi jesteśmy przedłużyć konkurs do 15 maja. Przypominam: zainteresowani powinni nadesłać dwie prace, a ściślej — dwa reportaże: jeden poświęcony problematyce wiejskiej, drugi na temat dowolny. Nie wycofujemy się z zapowiedzi ewent. zatrudnienia jednego ze zwycięzców w redakcji.

Druga — to sprawa winiety. Zaproponowaliśmy dwie winiety według propozycji A. Kota. Otrzymałoby kilkadziesiąt listów i telefonów: zdecydowana większość naszych czytelników wypowiedziała się za pozostawieniem dotychczasowej formy graficznej tytułu. Uszanowaliśmy ich wolę, aczkolwiek — jak zapewne czytelnicy zauważyli — dokonujemy pewnych zmian w „otoczeniu” winiety. Sądźmy, że są to zmiany pozytywne. Ale chętnie posłuchamy opinii samych odbiorców.

Należałoby jeszcze, wzorem Daniela Passenta z „Polityki”, wyjaśnić, czy jakieś zmiany zaszyły obecnie w samej redakcji „Kamena” — mam na myśli zespół. W zasadzie mogą one dotyczyć jednej osoby, która w tej chwili przebywa na zwolnieniu lekarskim. A więc trzymamy się. Pragniemy w przyszłości poszerzyć skład Kolegium Redakcyjnego, wyznaczając mu większą rolę w programowaniu pisma. Osobiście wyrażam nadzieję, że zarówno Maria Bechzyca-Rudnicka, która ma nowe obowiązki w związku z wybraniem jej na przewodniczącą

OKON-u w dziedzinie kultury (gratulacje!), jak i prof. dr Zygmunt Mańkowski nadal będą wspierać zespół redakcyjny swymi radami i doświadczeniem.

Jak wiadomo, Związek Literatów Polskich został chwilowo zawieszony, dlatego też nie informujemy w tzw. stopce redakcyjnej, że „Kamena” jest piśmie lubelskiego oddziału ZLP. Nie zmieni to w żaden sposób naszego stanowiska wobec twórców i ich prac. Zresztą — dalej wykładam kawę na ławę — nie lubelski oddział ZLP, ale Lubelskie Wydawnictwo Prasowe dofinansowywało stale „Kamena”, a rok ubiegły zamknęliśmy stratą w wysokości 1 875 000 złotych, aczkolwiek według planu strata ta miała wynieść 2 313 000 złotych. Podwyżka ceny jednego egzemplarza, dokonana pod koniec roku z 3 na 7 złotych pozwoliła deficyt nieco zmniejszyć. Faktem jest, że nie wydaliśmy ani złotówki na działalność propagandową i ani złotówki na tzw. wydatki o charakterze reprezentacyjnym. Gwoli ścisłości dodam, że na te ostatnie i tak zaplanowano nam skromną sumę trzech tysięcy złotych...

Różnych form oszczędności będziemy szukać nadal. Jeśli autorzy przesyłają do oceny jakieś utwory i proszą — w razie ich nie zakwalifikowania — o zwrot (choć w tzw. stopce redakcyjnej piszemy, że redakcja nie zamówionych materiałów nie zwraca), prosimy o obowiązkowe dołączenie znaczków pocztowych. Dotychczas zdarzało się, że — szanując trud autorów — szliśmy im nieraz na rękę. Niestety, rzeczywistość odusza nas altruizmu.

Rozpisałem się. Notatnik jest nietypowy — mówię głównie jako redaktor pisma, a nie autor. No i zostanie tylko ta jedna data — 31 marca. Myślę, że czytelnicy mi to wybaczą.

Gdybym teraz zagrał na nucie bardzo osobistej, musiałbym wspomnieć, że w tymże 1982 roku rozpocząłem osiemnasty rok pracy w „Kamena”, na tym samym stanowisku, a 15 kwietnia rozpoczął trzydziesty piąty rok pracy w dziennikarstwie. Do tego ostatniego właściwie nie należałoby się przyznawać, ale my, mężczyźni, wieku nie ukrywamy. To tylko kobietom wydaje się, że ukryć go można... Przeczynam...

Najważniejsze, że mimo upływu lat, chce się pracować. Moje pokolenie nie wzrastało w cieplarnianych warunkach, obecny czas też nie należy do najłatwiejszych. Ale trzeba się z nim wziąć za bary. Zjemy tu, między Bugiem a Odrą. Między Bugiem a Odrą jest nasz dom — Polska. I tylko tu ten dom wspólnymi siłami możemy budować. W duchu narodowego porozumienia.

M. A. Jaworski

PRZECZYTAŁIMY - PRZECZYTAJCIE

... kiedy opinia publiczna powiadomiona została, że przewodniczącym Stowarzyszenia Dziennikarzy PRL wybrano Klemensa Krzyżagórskiego [...] ten i ów rozpytuje mnie, kto to jest? Nie dziwię się specjalnie, bo Klemens Krzyżagórski nigdy nie rozpoczynał swojej działalności — a zyciorys ma przebogaty — od udzielania wywiadów, zwłaszcza przedstawicielom światowych agencji. Nie uchodził też nigdy za cierpiętnika, choć nigdy przez dawnych prominentów i decydentów hołubiony nie był. To jeden z najwybitniejszych polskich reporterów, który ponad własną sławę przedkładał trud krzewienia reportażu, tego nadzwyczajnego gatunku, który bliski literaturze ma szacunek dla konkretności i faktu.

Karierę rozpoczął w „Gazecie Robotniczej” we Wrocławiu, a była to kariera błyskotliwa, bo ten młody, docieklawy reporter, choć jeszcze w krótkich portkach, otrzymał najzaszczytniejszą nagrodę dziennikarską, jaką była nagroda im. Juliana Bruna. [...] Inteligentny, o ogromnej wiedzy i erudycji dziennikarz, był naczelnym redaktorem wielce zasłużonego dla literatury, kultury i sztuki miesięcznika „Odra”. [...] Kiedy Klemens Krzyżagórski przestał podobać się we Wrocławiu, bo niełatwo zmieniał poglądy i przekonania, mimo bardziej atrakcyjnych ofert, wyjechał do Białegostoku, by tam znów utworzyć ambitny, o krajowym zasięgu miesięcznik „Kontrasty”. Najwybitniejsze pióra polskiego reportażu w „Kontrastach” właśnie znalazły możliwość kreowania tego gatunku. [...] Kiedy bezkompromisowe „Kontrasty” były już rozchwytywane w Polsce, Klemens Krzyżagórski zaczął denerwować decydentów w Białymstoku. Musiał więc znów przenieść się, tym razem do Warszawy. Podjął tam pracę jako kierownik działu literatury i faktu w „Miesięczniku Literackim”. Niezmiennie działał w SDP, by zostać wreszcie naczelnym redaktorem organu ZG SDP „Prasa Polska”. (Brunon Rajca, „Gazeta Krakowska”, nr 33)

„Dziś nie brak pieniędzy decyduje o rozwoju i upowszechnianiu kultury w zakładach pracy. Hamulec jest niedostępność w handlu wszelkich materiałów — środków czystości, nawet szcotek, a także farb do malowania pomieszczeń. I co, mam kupić obraz, aby powiesić je na odrapanych ścianach? Estetyzacja i humanizacja stanowisk pracy to chyba główny cel i kierunek kultury w zakładach. Mamy świetlicę, w której nigdy odbywały się potańcówki, tylko jakiś ma sens „tancbuda” w fabryce? Skasowałem ją, zostawiłem bibliotekę. Są książki, czasopisma — na czytelnictwo nie szcędzą pieniędzy. A tak, w ogóle, to sprawami kultury zajmuje się dział socjalny”. (Witold Samolej, dyrektor Zakładów Przemysłu Odzieżowego „Odra”, „Głos Szczeciński”, nr 48)

„W ogniu walki politycznej różni ludzie posługują się różnymi chwytami, stosują takie metody, jakie im są wygodne. Sądzę jednak, że dzisiaj już bliżej możemy określić w oparciu o własne, polskie doświadczenia, czym jest lewactwo. Uważam, że można odnieść to pojęcie do rozmaitych form anarchoindykalizmu czy neotrochizmu, które również w Polsce zaczęły występować w sposób zorganizowany, lecz przecież nie na rzecz socjalizmu, a przeciw niemu — pod hasłami pseudosocjalistycznymi. To w odniesieniu do tych koncepcji najbardziej odpowiada zarówno treściom programów, jak i metod działania określenie «lewactwo». (Tadeusz Grabski, „Argumenty”, nr 1)

KRONIKA

• Nicco więcej zboża sprzedają rolnicy państwu, ale nadal jest to ilość niewystarczająca wobec naszych potrzeb konsumpcyjnych. W przeliczeniu na jeden hektar gruntu ornych pozyskano dotąd w województwie lubelskim zaledwie 32,6 kg. Wciąż ciągle dobiega żyto i pszenice, a rezerwy państwowe są na wyczerpaniu.

• Znowu mówi się o utworzeniu w Lublinie filii warszawskiej Akademii Muzycznej, przewidywane jest otwarcie szkoły w jesieni 1984 roku. Mamy nadzieję, że w tych ambitnych rachubach liczone są z faktem istnienia kierunku pod nazwą wychowanie muzyczne UMCS. Uwzględniając specyfikę gatunków, wierzymy także, iż będzie to placówka lepsza, niż pomnik Wieniawskiego.

• Mianem racjonalnego pomysłu można określić giełdę książek, odbywająca się od pewnego czasu w Lubelskim Domu Kultury. Połączona z imprezą liczącej książek chwala się całkiem przyzwoitymi „obrotami”, sięgającymi 13 500 zł (pierwsza) i 28 744 zł (druga). Jak dotąd, najwyższą cenę osiągnął „Modlitewnik Władysława Warneńczyka” z 1928 r. — 2700 zł.

• Uważam, że pluralizm organizacyjny jest kwestią bezdyskusyjną. Istnienie tylko ZSP jest nie do pomysłenia. Powinny istnieć różne organizacje stojące na gruncie

określonych realiów ustrojowych i politycznych. Natomiast ich programy i propozycje dla studentów wcale nie muszą być jednakowe, czy podobne — stwierdził w wywiadzie prasowym Z. Kwiatkowski, przewodniczący Rady Okręgowej SZSP w Lublinie.

• Dziennikarz „Kamena” poinformował telefonicznie (nr 261-59) kierowniczkę przychodni przy ul. Hipoteckiej w Lublinie, że istnieje podstawa do przypuszczeń, iż jeden z aparatów do sprawdzania parametrów szkieł optycznych do okularów, znajdujący się w poradni okulistycznej tejże przychodni, nie funkcjonuje, co może mieć fatalne skutki dla pacjentów. W odpowiedzi usłyszała, że zajęcie się sprawą wymaga podania przez dziennikarza: nazwy aparatu, daty incydentu będącego podstawą informacji oraz nazwiska lekarza wtedy przyjmującego w poradni. Okazuje się zatem, że reguły gry w biurokrację są ważniejsze od ludzkiego zdrowia. Inna sprawa to balancer panujący w rejestracji owej przychodni, kwitowany

przez urzędujące tam osoby dosadnym zwrotem: „Niechże pani nie pyskuje!”.

• Na terenie Towarzystwa Miłośników Ziemi Chełmskiej reżyser Stanisław Mielusko wykona pomnik Tadeusza Kościuszki, który stanie w parku miejskim, upamiętniając udział chełmian w insurekcji.

• Jest czas wojenny, dobitnie powtórzono niektóre dawne i sensowne zarządzenia, zakazujące np. spożywania alkoholu w miejscu pracy, a tymczasem nadal w instytucjach hucznie obchodzą się imieniny, urodziny i tym podobne „okazje”. Bezczelność w tym względzie przekracza już wszelkie granice przyzwoitości: dowiadujemy się, że sekretarka poważnej, szanowanej się instytucji kulturalnej telefonuje do podległych jednostek organizacyjnych, przypominając, że oto dziś przypada imieniny szefa całego interesu (państwowego)! Jest w tym wstydnym coś śalostowego, parującego smutkiem prowincji...

Z BOLESŁAWEM CWIKŁĄ PO 13 GRUDNIA

Dokończenie ze str. 1

leki z Gdańska i już wszystkie komisje zakładowe były sławiane na nogi. Tak było na przykład ze strajkiem jednogodzinnym proklamowanym na dzień 9 lutego ubiegłego roku. Wystąpiłem wówczas przeciw temu strajkowi, bo uważałem, że nie ma on najmniejszego sensu. Z kim jednak można było rozmawiać w tym klimacie powszechnej negacji?

Albo weźmy ów nieszczęsny marsz protestacyjny, który miał się odbywać w obronie więźniów politycznych. Zwołaliśmy zebranie naszej załogi PTSL. Spośród 115 obecnych jedynie pięciu wypowiedziało się za marszem, tyleż samo wstrzymało się od głosu, a pozostali, w liczbie 105, a więc przytłaczająca większość, byli temu przeciwni.

Z wynikami głosowania pojechałem do MKZ-u, gdzie właśnie odbywała się narada poświęcona koordynacji marszu. Na tej naradzie wstał delegat z FSC czy ze Świdnika, nie pamiętam już dzisiaj dokładnie, i oświadczył, że ich komisja jak i załoga też jest przeciw. Odebrano mu głos oświadczając, że po to jest wybrany zarząd regionu, aby decydował i trzeba mu się podporządkować. Wstałem, zacząłem mówić, ale nie znalazło to zrozumienia. To ja się pytam, gdzie jest ta samorządność, skoro stanowisko mojej załogi zostało zlekceważone?

Wiele by tu jeszcze można powiedzieć. Przecież lektorzy pouczali, że o postawie członka związku ma świadczyć jego praca. „Uczciwa praca — uczciwa zapłata”. Później żądano już głównie zapłaty; rząd musi dać i koniec. Pamiętam to zebranie w „Agromecie” przy końcu sierpnia, gdzie rozliczano mnie i moją komisję. Oświadczyłem wówczas, że każdy powinien wziąć się do uczciwej pracy, a to rozliczanie trzeba zacząć od siebie. Trzeba byłoby być i słyszeć ten śmiech, jakim przyjęto moje słowa. To nie było popularne. To nie mogło być popularne. Oklaski miał ten, który krytykował władze i tak się wzajemnie licytowano, kto bardziej tym władzom dołoży. Robotników można zrozumieć, że dawali się ponieść emocjom. Po dniu ciężkiej pracy często nie mieli już sił na dokładne przeczytanie gazet, na radio, na telewizję, zresztą gazety też różnie pisały, ale co myśleć o panach doktorach, docentach, wykształconych przez uczelnie tego państwa, niejednokrotnie na zasadzie awansu społecznego, którzy zapomnieli, skąd wyszli?

— Czy nie dał się pan ponieść nastrojom anty-inteligentkim?

— Jakim nastrojom? Nie jestem wrogiem inteligencji ani rzecznikiem rozbratu z nią, ale byłem i jestem przeciwny narzucaniu dominacji przez różnych doradców, którzy ubrali się w szaty narodowe, a o Polsce wiedzą tak mało, że nawet nie zdają sobie sprawy, w którym miejscu Europy ona leży. Na Wydziale Ekonomicznym UMCS wystąpił kiedyś pan docent Kowalik z Gdańska. Gość wprowadził słuchaczy w cele i strategię związku i w pewnym momencie powiedział tak: „sprawy mniej istotne, sprawy rewindykacji, pozostawmy masom robotniczym, a my zajmijmy się ukierunkowaniem i programem działania”. Pan docent mówił to do słuchających go innych docentów, doktorów i magistrów, bo tylko tacy znajdowali się na sali. Przesłuchiwałem później taśmę z tego spotkania i nie wierzyłem własnym uszom. A słuchałem tej taśmy z zaprzyjaźnioną panią docent. Wyraziłem swoje oburzenie, a ona patrzyła na mnie zdziwiona, uważała, że to normalne działanie, nie widziała tu niczego niewłaściwego...

A co może właściwe było, że uprawnienia komisji zakładowych przejmowały regiony, a uprawnienia regionów — KKP? Związek w miarę oddalania się w czasie od Sierpnia coraz bardziej przestawał być ruchem zawodowym, a stawał się oficjalną siłą antystrojową. Dlaczego na kalkulacjach opozycji politycznej miała cierpieć cała klasa robotnicza? Jakikolwiek sprzeciw był niedopuszczalny, a związek, który powstał w wyniku protestu przeciwko układowi sterowanemu, sam stał się układem scalonym o napięciu w istocie rzeczy antyrobotniczym, kierowanym przez opozycję polityczną. Ja to wszystko dostrzegałem coraz bardziej, bo tkwiłem przez rok wewnątrz tego ruchu, a wewnątrz zawsze się widzi więcej niż zewnątrz. Nie byłem bezczynny. To, co myślałem, mówiłem publicznie, nikt ze mną nie nawiązywał rzeczowej polemiki, kończyło się na obelgach, robiono ze mnie „czerwonego”. Byli tacy, co mieli mi za złe, że wysiadłem z tego wehikułu, a właściwie wyskoczyłem z niego w pełnym biegu. A co miałem robić, kiedy w kabinie kierowcy siedzieli histerycy albo ludzie kompletnie pijani nienawiścią? I toczył się ten pojazd przez zamarły strajkami kraj. 13 grudnia, na krawędzi samozagłady narodu, wojsko nacisnęło na hamulec. Zatrzymanie było gwałtowne, niejedni zostali poturbowani, niejedni musieli poddać się nieoczekiwanej kuracji, niestety, były i ofiary, ale naród ocalał. Po tym szaleństwie wszyscy mamy kaca, ale kac minie, już zaczyna mijać, bo życie musi toczyć się dalej. No i w tym świetle dziś jeszcze lepiej widzę zasadność moich decyzji, o których pan wspominał na wstępie.

— Mówi pan obrazowo i nawet przechciany nie mogą panu zarzucić, że należy pan do grona tych, którzy przejeżdżali dopiero po 13 grudnia...

— A owszem, są i tacy, nikogo jednak nie potępiam, chociaż nie lubię ludzi, którzy w ciągu doby potrafią zmienić swoje poglądy o 180 stopni. Organizowałem „Solidarność”, wiązałem z nowym związkiem — samorządnym, niezależnym — określone nadzieje. Nie spełniły się one, ale uważam, że

wina za to, co się stało, tkwi w nas wszystkich. Powiedzmy sobie szczerze, do końca, przecież i partia się zagubiła i zagubiły się resztki związków branżowych. Resztki, bo w naszym zakładzie w związkach branżowych pozostała tylko mała garstka pracowników. I jak się dzisiaj zorientowałem, to oni wiedzieli, czego chcieli, ale wówczas byli niewidoczni, ani razu nie zaprotestowali publicznie przeciwko poczynaniom swych kolegów z „Solidarności”, przeciwko chociażby prowokacyjnym ulotkom i plakatom. Ja wiem, że to nie było łatwe, bo lepiej, gdy się jest na fali, ale ta fala może też kiedyś i zalać... A co, czy dzisiaj nie widzimy, jak to niektórzy zresztą układają się na tej nowej, innej fali? Jak próbują załatwiać stare porachunki, choć sami nie są bez grzechu i tą swoją aktywnością usiłują naprawiać dawne błędy? Ludzie są tylko ludźmi, ale jeśli nawet wśród najuczciwszych znajdzie się jeden drań to on tak da popalić, że to nie będzie tylko dymek z papierosa.

Nie jestem za tym, aby wszystkie sprawy rozwiązywać w białych rękawiczkach, bo jak by o nie dbać, to i tak te białe rękawiczki szybko się pobrudzą, ale jestem za uczciwością. Jeśli ktoś musi odejść z pracy, to musi wiedzieć, dlaczego tak się dzieje, co mu się konkretnie zarzuca. I do każdego człowieka należy podchodzić indywidualnie. Jeśli mówimy o rotacji kadr, to ja jestem jak najbardziej za, bo nawet na najlepiej skonstruowanym świeczniku może się ta czy tamta żarówka przepalić i trzeba ją zastąpić nową. A bywa, że ta nowa też jest przepalona. Co z takiej wymiany? Było ciemno i jest nadal ciemno, a przynajmniej nie za bardzo jasno. Oczywiście świeczniki są różne — od wielkich do małych, są też takie, no może już nie świeczniki, ale zwykłe lampy, w których się pali tylko jedna żarówka: jeśli ona zagaśnie, a na jej miejsce wkręci się zużyta, to jest tak samo ciemno, jak było.

— Zabrzmiło to alegorycznie, ale myślę, że się rozumiemy. Problemy kadrowe zawsze są istotne, selekcja negatywna czasem zastępuje selekcję negatywną. Sądzę, że i „Solidarność” nie ustrzegła się tego...

— Nie ustrzegła? Za słabo powiedziane. Kiedyś narzekano, że związki zawodowe, te branżowe, czy stare, jak pan woli, są przeetatyzowane. „Solidarność” pokazała, co to znaczy przeetatyzacja i za związkowe pieniądze, robotnicze, urzędnicze wili sobie działacze ciepłe posadki. Jeśli działacz związkowy, rzekomo oddelegowany do pracy społecznej zarabiał 18 tysięcy złotych miesięcznie a nawet i więcej, to proszę mi powiedzieć, czy on się nie trzymał stanowiska? Powrót na stare miejsce pracy stanowiłby dla niego utratę połowy, a może i więcej, tych poborów. Zeby do tego nie doszło, musiał wykazać się dyspozycyjnością i realizować wszelkie zalecenia góry. A im więcej liczył się z górą, tym mniej z dolami; to jest naturalne. A ja uważam, że ktoś oddelegowany do pracy związkowej powinien zarabiać tyle samo, co na swym poprzednim stanowisku. Wtedy nie będzie się bał utraty stolika. Walczyliśmy z dygnitarstwem i narobiliśmy nowych dygnitarzy. Człowiek, który zaczyna inaczej żyć, przestaje myśleć o tym, co ludzi boli. W dodatku widzi, że staje się najmądrzejszy, może wydawać polecenia, nadskakuja mu, nawet do domu znoszą to i owo. Rośnie działacz, rośnie jego żona, no i rośnie ich zachłanność — mieszkanie jest za małe, samochód za stary, mebelki niemodne, futerka wytarte... Ja nie mówię sobie tego tak z powietrza. Mógłbym przytoczyć konkretne przykłady, jak to niektórzy ludzie z „Solidarności” dbali o swoje własne interesy, jeden dał nawet ogłoszenie, że poszukuje pięciopokojowego mieszkania. Poznałem go po numerze telefonu. Co to wygrał los na loterii? Trafiał szóstkę w Toto-Lotka?

— Wie pan co? Słucham tak pana, takma się kręci... Pan by nie musiał pisać pamiętników, wystarczyłoby ująć przy magnetofonie, a później by to ktoś opracował!

— Na pamiętniki mam czas; nawet Putrament zaczął by pisać, gdy miał pół wieku. A ja nie chciałbym się czuć emerytem. Na razie ciągle pewne sprawy jeszcze walcuję, w nocy często spać nie mogę i myślę, jak to się stało, że piękne idee zostały tak dokumentalnie zaprzepaszczone. Kto to Lenin czy Stalin mówił kiedyś o zawrocie głowy od sukcesów?

— Stalin, ale przy innej okazji.

— Okazja może była i inna, ale zawrót głowy to świetne określenie. Po marcu 81 mówiono, że związek popełnił błąd, że wtedy trzeba było iść na całego. A pytam, co byśmy osiągnęli? Nasz region miał zresztą tylko na trzy dni jedzenia...

A te ciągle żądania o podwyżki! Rząd podpisywał, bo działał pod naciskiem strajkowym. Czy nikt się wtedy nie zastanawiał, że na te pieniądze nie będzie pokrycia? Nie wiem, czy Wytwórnia Papierów Wartościowych strajkowała? A ona mogłaby strajkować, bo to by było z pożytkiem dla ogółu. Dziś to wszystko odbija nam się czkawką i długo chyba jeszcze będzie. Nie usprawiedliwiam tu wcale ekipy Gierka, bo ona ma swoje błędy i to poważne. Tam też byli doradcy. Mówią, że Gierek ich się nie słuchał. No to co? Nie mogli zrezygnować? Gierek zapatrzył się na Zachód i chyba zapomniał, że kapitalista niczego nie robi z dobrego serca, ale chodzi mu o własny interes. I teraz to gospodarcze oparcie o Zachód wychodzi nam bokiem. Gierek opierał się o Zachód gospodarczo, a Wałęsa — politycznie. Już mu nie wystarczyły wzory europejskie, poleciał do Japonii i zapowiadał potem, że z Polski zrobi drugą Japonię. Ale jak? Gdzieś przeczytałem, że w Anglii odzu-



Bolesław Cwikła pracuje jako elektryk samochodowy w Państwowym Przedsiębiorstwie Transportu Samochodowego „Łączność” nr 6 w Lublinie. Był jednym z założycieli związku zawodowego „Solidarność”, z którego wystąpił we wrześniu ub. r.

Fot. Waldemar Stępień

ty stanowią dziesięć procent produkcji przemysłowej, a w Stanach Zjednoczonych i w Niemczech Zachodnich prawie sześć procent, a w Japonii... proszę zgadnąć, ile?

— Dwa procent?

— Mniej. Jeden i dwa dziesiąte procenta. W największym koncernie elektrycznym Japonii od każdego robotnika oczekuje się stałego spełniania funkcji inspektora jakości samego siebie. Kto w toku produkcji odkryje wadliwą część, powinien natychmiast wyłączyć taśmę celem usunięcia szkody. Czy tego żeśmy nie widzieli? Widzieliśmy, ale woleliśmy o tym nie mówić, bo to by nie chwyciło. U nas nad produkcją czuwają przecież specjaliści inspektorzy.

Redakcja „Polityki” prowadziła kiedyś akcję pod hasłem „Uczmy się choćby od diabła”. A no, uczmy się, ale zanim zaczniemy się uczyć, musimy zmienić samych siebie.

— Jest pan w tym względzie optymistą?

— Rozgadałem się, przepraszam, że nawet panu nie daję dojść do słowa...

— Przecież to pan ma mówić, a nie ja. Ku temu mam inne okazje...

— No i dobrze. A z tym optymizmem to różnie bywa. Muszę jednak, choćbym nie chciał, być optymistą, bo jeszcze chcę się na coś przydać. Wiem, że przyjdzie czas na organizację związków zawodowych. Myślę nad tym sporo, ale dzisiaj nie chciałbym szerzej na ten temat mówić, bo już dosyć było niewypałów. Na razie jeszcze często rządzą nami emocje, a tu potrzebne nie emocje, ale kalkulacja. Nie chłodna kalkulacja, ale rozumna. Jedno jest dla mnie tylko pewne: Polska jest i będzie krajem socjalistycznym. W takim kraju powinna istnieć silna partia i silne związki zawodowe. Partia na swym Zjeździe Nadzwyczajnym uchwaliła program, który „Solidarność” zupełnie zignorowała; ostatni projekt Deklaracji też wnosi dużo nowego. Sejm debatuje i nie jest to gadanie dla samego gadania; z tych dokumentów, które uchwała, może coś się rozsądnego narodzić. Ludzie to powinni rozumieć, ale z tymi ludźmi trzeba częściej rozmawiać, nie bać się dyskusji, ale tak nią kierować, by nie było przelewania z pustego w próżne. Kiedyś oglądałem w telewizji wypowiedź pewnego komunistycznego działacza węgierskiego...

— Marosana...

— Chyba tak. Węgry w 1956 roku miały przecież sytuację trudniejszą niż my dzisiaj. Ten Marosán nie bał się wtedy iść do ludzi, mówił nie do setek, ale do tysięcy. Inni chyba też działali. Przyniosło to jakiś efekt. Od przyjaźni też możemy wiele skorzystać. A Węgrzy pokazali światu, że potrafią coś zrobić. Przywódcy „Solidarności” na Węgry jednak nie jeździli. Za blisko im chyba było? A ja bym pojechał i czegoś się nauczył, na razie jednak nikt mnie nie prosi... Zartuję oczywiście!

— A jednak życzę panu tego serdecznie. Nie narzuciłem się dzisiaj zbyt wiele...

— Jeszcze pan popracuje, żeby to jakoś uporządkować. Chciałbym jednak tekst przed drukiem przeczytać, żeby pan mi jakiś herezji w usta nie ponakładał!

— Takich spraw przestrzegamy ściśle. A swoją drogą, jeśli koncepcje dotyczące ruchu związkowego u pana dojrzeją — łamy „Kamień” są zawsze otwarte.

— Trzymam pana za słowo!

Rozmawiał: Marek A. Jaworski

28 marca 1982.

UCIEC? Zostać? Nie, to nie wchodziło w rachubę. Jechałem zarobić na samochód. Byłem gołym studentem i nie przerywając studiów, uczciwie zarobić na kupno samochodu to okazało się nie wypuszczalne. Ten plan wykonałem w stu procentach, a pozostanie w RFN, chociaż pod koniec pobytu mój boss gorąco mnie do tego namawiał, bo miał taniego tyra, przekreślałoby wszystko w moim życiu, włącznie z czterema latami studiów medycznych. Nie mieściło się w moim charakterze, że tak powiem, w mojej konstrukcji psychicznej...

Niech się pan nie uśmiecha ironicznie. Albo pan zapomniał swoje 21 lat, albo powinien się pan zgodzić, że w tym wieku już można mieć jakiś charakter. W każdym razie to, co nie pozwalało mi zostać, było chyba tą częścią mojego charakteru, która sprzeciwiała się wieczystemu zarabianiu marek i statusowi gasterbeitera na czas nieokreślony. Co innego trzy miesiące i konkretny cel: samochód. Na tym dystansie był mi zupełnie obojętny status i rodzaj roboty.

Zanim przekroczyłem granicę, musiałem pokonać dwie potężne przeszkody — pozwolenie uczelni i wizę. Opowiem panu po kolei, jak to szło. Byłem na drugim semestrze III roku i dziekan oświadczył, że odpowiednia ustawa zabrania zgody na wyjazd, jeśli student nie zaliczył roku. Ponadto prosiłem o cztery miesiące, a wolno przyznać dwa. Na szczęście miałem wolną sesję wiosenną i odrobiłem praktykę w szpitalu. Dziekan, wyraźnie idąc mi na rękę, poprosił tylko o oświadczenie, że zdam zaległe dwa egzaminy w maju. W końcu dostałem zgodę, ale gdybym był na 5 lub 6 roku, jak mój brat, ktoś musiałby podpisać poręczający weksel, że wróce, na ponad 200 tysięcy złotych.

gorzej było z wizą. Kwestionariusz złożyłem w ambasadzie RFN już w lutym 1980. Chcąc panu powiedzieć, że wtedy zastałem dwie osoby w kolejce. Gdy odbierałem wizę w maju bieżącego roku, musiałem stać w kolejce pięć dni i nocy. Wystartowałem z pozycji numer 3671. Zobaczyłem gigantyczny tasiemiec ludzki ze śpiworami, materacami, krzesłami, tobołami, a przecież nie wszyscy stali tu jednocześnie. Cała ulica Kałowska na Saskiej Kępie żyła wizami, nawet ambasador nie miał gdzie postawić swojego wozu. Początkowo były rozróby i przepychanki, ale ustąpiły, jak ambasada zagroziła wstrzymaniem wydawania wiz. Powstały społeczne listy: każda obejmowała 100 nazwisk i miała swój numer w kolejce. Sprawdzanie listy w setkach odbywało się trzy razy dziennie: o 5 rano, o 12 i 20. Jedną nieobecność czy spóźnienie wystarczyło, aby spaść na koniec peletonu. Spałem u kolegi, w akademiku UW.

Najgorzej jest jechać zupełnie w ciemno. Ja nie jechałem zupełnie w ciemno. Przykuliłem się do teściowej mojego brata. Ma ona w Wuppertalu była sąsiadką z Olsztyńskiego, która w 78 wyjechała w ramach łączenia rodzin. Teściowa miała już zaklepaną pracę w hurtowni obuwia, ale o mnie tamta nic nie wiedziała i wyraźnie zrzędniała jej mina na mój widok.

Zadnego handelku, poza czteroosobowym namiotem, który zresztą opyliłem za bezcen. Niemiec woli zapłacić dwa razy drożej w sklepie, niż przysgodnie. Poza tym, czym zaimponować? Jeżeli namiot był niewypałem, to dobrze trafiłem z papierosami. Wiedziałem, że tu w automacie płaci się za paczkę trzy marki, toteż Polacy za „Klubowe” po jednej marce płacą tutaj z radością. Co do papierosów, to w RFN musiałem przestać palić. Takiego wydatku trudno odzalaować.

Ale tak naprawdę, to jest się do przodu dopiero ze znajomością niemieckiego. Znałem go ze szkoły, poza tym mocno trenowałem w ostatnich miesiącach i w sumie dogadam się, a jeszcze więcej rozumiem.

Teściowa brata uprzedzała mnie w drodze, że Marlana, ta jej znajoma, pije i przeklina, ale w sumie da się wytrzymać. Chyba, że się zmieniła. Niedługo miałem się przekonać, że zmieniła się, ale w inną stronę. Wyjechała do RFN z córką i synem w moim wieku. Córkę szybko wydała za Niemca, a sama, chcąc jeszcze podłapać coś konkretnego, narzuciła sobie ostry reżim — ani kropli alkoholu, a z przekleństwami tylko w naszym towarzystwie! Odbierała nas z dworca w towarzystwie swojego Wenera, kandydata na męża. Pojechalśmy do jej mieszkania. Ona po wyjściu z obozu przygotowawczego w Una Masen koło Düsseldorfu, wybrała właśnie Wuppertal. Dostała od rządu trzypokojowe mieszkanie z czynszem 600 marek miesięcznie, o połowę taniej niż za takie samo mieszkanie w prywatnym bloku.

Marlena zachowała się przyzwoicie wobec nas. Właściwie wszystko jej oboje zawdzięczamy. Mnie odstąpiła pokój ze... swoim synem, niestety, nalogowym pijackim. Mając dach nad głową, zacząłem się rozglądać za pracą. Z teściową poszło łatwo. Już na drugi dzień dostała robotę w magazynie obuwniczym Klauzera, który ma 21 sklepów. To Marlana ją tam zainstalowała.

Ale ze mną zaczęła się straszna kołomyja. Marlana zmarnowała dla mnie 10 dni urlopu. Zaczęliśmy poszukiwania od jej znajomych. Nic. Potem rozpoczęliśmy chodzenie po różnych firmach. Niestety, pierwsze i ostatnie pytanie brzmiało: — Czy mówi po niemiecku? Na tym rozmowa się kończyła — nie mogłem bledować, że znam na tyle niemiecki.

W Arbeitsamcie — to samo.

Po tygodniu takiej włóczęgi stwierdziłem, że zapas marek stopniał przerażająco. Zupełnie już podłamany pojechałem któregoś dnia z Marlana do jej faceta za miasto, gdzie Werner miał nad jeźdźcem dach. W pewnej chwili Werner sięgnął po „West Deutsche Zeitung” i pokazał w rubryce ogłoszeń fuchę dość nietypową — noszenie zwłok w prywatnym, oczywiście, zakładzie pogrzebowym. Popatrzył na mnie pytająco.

„Jasne, bierzemy”, wykrzyknąłem. Z nieboszczykami przecież jestem otrząskany.

Po kwadransie byliśmy na miejscu. Niestety, chociaż tu ulgowo traktowano znajomość języka, to jednak oferty nie kupilem. Po prostu za mało był ruch w interesie. Za mało trupów. Jak mi powiedziano, dwa lub trzy dziennie, a za sztukę płacili po trzy marki. Co innego, gdybym trafił jesienią, wtedy mają po kilkanaście sztuk dziennie. Ale był czerwiec i Niemcy nie chcą umierać w sezonie urlopowym. Szkoda.

Aż przyszedł pamiętny dla mnie 14 czerwca. Przed południem sam lazilem po mieście; Marlana już się urywała do Wenera. W południe wróciłem na chatę i zacząłem się pakować. W takim stanie zastała mnie Marlana. Przypomniała sobie, że dwa lata temu syn znajomej znalazł robotę na bazarze.

Poszliśmy. Od straganu do straganu. Nic. W końcu jakiś facet — właściciel interesu — po namyśle i dokładnym przyjrzeniu się kandydatowi powiedział, ale bez specjalnego przekonania, że bym się stawiał jutro o 9, może coś się znajdzie.

Rano pokazał mi dziesięciotonowego mercedesa załadowanego truskawkami: „Rozładować na stragan”. Chyba nigdy przedtem tak żwawo nie wziąłem się do roboty. Nie byłem wprawiony, potlał się ze mną, ale już po godzinie truskawki znalazły się pod dachem.

Niemiec spojrział na zegarek: pracowałeś godzinę. Ja za godzinę płacę sześć marek. I wcisnął mi w garść te sześć marek, dodając, że na dziś nie ma dla mnie roboty, a jutro znów będzie transport.

Przyszedłem do domu, zwałilem się na łóżko i zacząłem intensywnie myśleć. Wniosek był prosty: pracowałem za szybko. Należało śpieszyć się się powoli.

Nazajutrz rozładowałem ten sam wóz po dwóch godzinach, noga za nogą, ale dłużej nie dało się przeciągać. Wniosek drugi — tu mogłem zarobić 12 marek dziennie. Postanowiłem trzymać się tego i rozglądać się za czymś lepszym. Bo nawet sześć marek dziennie, jakie powinny mi zostać, dawało mi, po cenach czarnorynkowych, kilkanaście tysięcy złotych miesięcznie.

Ale po paru dniach byłem już wypompowany i zdecydowałem się wracać. Ten dzień na bazarze miał być ostatni. Ale właśnie wtedy Bunsch — bo tak się mój boss nazywał — po rozładowaniu ciężarówki kazał mi jeszcze zaczekać, bo spodziewa się dodatkowego transportu. Rzeczywiście, po godzinie nadjechał mercedes pełny nadgniłych truskawek. Dostał je za grosze, więc nie nie tracąc, kazał mi przebrać.

Sortowanie zajęło mi cały dzień. Przebrane truskawki Bunsch sprzedał po dwie marki, gdy normalnie idą po pięć. Po podliczeniu utargu podśledzałem, jak mówił do żony, że mają 21 tysięcy marek, gdy normalnie mieli około 10 tysięcy. Tak więc nagonilem mu jednego dnia kupę forsy. Co mnie to obchodziło, skoro tego dnia wypłacił mi 80 marek! To był szok!

I tak zaczęło się moje nowe życie gasterbeitera. Każdego dnia zajeżdżał dodatkowy mercedes z nadgniętymi truskawkami, Bunsch inkasował dychę więcej, a ja swoje 80 marek. Wracałem do domu czeryony jak z rzeźni, myłem się, przegryzałem byle co i waliłem się spać.

Po tygodniu zgnile truskawki skończyły się, ale Bunsch nie odprawił mnie. Wysypywałem truskawki na stoły, robiłem porządki, ale tak nie mogło trwać długo. I znów miałem szczęście. A było tak. Na straganie pracowały cztery osoby: Bunsch ze swoją Rebeką, ich syn Jürgen oraz młody Turek. Otóż Turkowi, kończył się czas pobytu w RFN — był już pięć lat, musiał wracać. I oto stałem na jego miejscu za stołem jako sprzedawca. Moja specjalność to arbuzy, ziemniaki, cebula. Stary z żoną po drugiej stronie handlowali jabłkami, bananami, brzoskwiniami, potem wiśniami itd., jak sezon pozwalał.

Mój dzień? O 7 rano na stanowisku. Rozładunek. Ustawianie wystaw: piramidy jabłek, pomidorów, śliwek, brzoskwiń, od frontu podpicowane najpiękniejszymi okazami. Bywało, że Bunsch popatrzy z paru metrów i wyciągnie z piramidy jabiko z plamką. Piramida wali się, a ja ustawiam ją od początku. Zaczyna się handel. Pojawiają się klienci, przeważnie stare Niemki, grymaszą, coś do mnie szwargoczą, ja na wszystko mam swoje „jawohl”, „bitte”, „danke schön”, czasem pod nosem „pocałuj mnie w dupę” i interes się kręci...

Ceny? Różne. Najdroższe jabłka, Green Smith, po 3,60, papierówki — 1,20. Hiszpańskie śliwy Aprikozy i polskie jagody po 5,80, wiśnie po 4,20. Ziemniaki w trzech sortach: małe jak orzechy — do sałatek, Fest-Kochen do wszystkiego, duże Miligony do tarcia na placki. Dziennie szło mi 15 worków.

Coś do kieszeni? Zartuje pan! Zresztą Bunsch stale miał mnie na oku. Przecież on nawet nie wiedział, gdzie mieszkam, znał tylko moje imię i to, że studiuję medycynę, co w przystępie dobrego humoru dawało mu okazję do powiedzonek w rodzaju: „W Polsce doktor, a tu Kartoffeln Direktor!” Co pół godziny podchodził do mojego stoiska i wyjmował z kasety banknoty, zostawiając drobne. Do dziś nie wiem, dlaczego pierwszy utargowany rano banknot, po dokładnym wyglądzeniu, kładł na dno, aby leżał tam do końca dnia. Kupiecki przesąd?

Tak minęło parę tygodni, gdy któregoś dnia, w połowie lipca, oznajmił, że wyjeżdża na tydzień, Jürgen zajmie się dostawą, a ja staję we dwójkę, z Frau Rebeką, do sprzedaży. Oznaczało to w praktyce przedłużenie dnia o kilka godzin. Rano musiałem być pierwszy, rozkładać cały ten balagan. Obiad jedliśmy na miejscu z garnuszką, czasem w pobliskim barze. Wracałem o 20. Z placu Neumarkt, gdzie jest bazar, do mojej dzielnicy, zamieszkałej przez tysiące Turków, droga prowadziła przez park. Strach było mijać gromadki podchmielonych Turków. Nigdy nie widziałem tak długich nóg, jakie wyciągały przy byle sprzeczce.

Na czas nieobecności szefa dolatywało mi 15 marek, w sumie 90. Gdy tylko stałem za ladą,

miałem 75 marek. Powoli widziałem zarysy samochodu, ale sił ubywało. Tylko w sobotę kończyłem pracę o 14. Wskoczyłem do Düsseldorfu i Hamburga. Niezapomniana dzielnica portowa. Co kilka kroków knajpa, bar szybkiej obsługi, pizzerie okupowane głównie przez Włochów, ale doznania turystyczne gasterbeitera są nerwowe, płytkie, pośpieszne.

I zatrząsienie Polaków. Wielu spało w bramach, pod mostami, zebrano o pracę, o paczkę papierosów. Są tacy, co pracują za jedną markę. Powszeczne jest podkupywanie się: idziesz do właściciela i mówisz, że będziesz robił to samo o dwie marki mniej na godzinę niż ten tam, Turek czy Włoch, albo Polak. Od Turka można za to zarobić nóż, albo donos do policji na właściciela, że zatrudnia nielegalnie.

I oto sprawa końcowa — samochód. Kupuje się na kilka sposobów. Pierwszy — to sklep firmowy z nowymi maszynami. Piekielnie drogo, golfy po 18 tysięcy. A więc odpada. Drugi sposób — to Autohausy z samochodami używanymi. Tego też nie doobraze się czepiać. Stoją same mocno skorodowane graty, tyle że pięknie podpicowane żywicznymi lakierami. Byłbym się może narwał, gdyby nie syn Marlany, który podciągał mi marki na wodę, ale na koniec pojechał ze mną do Autohausu i wsadził palec w błotnik podpicowanego golfa.

Następny sposób — to stacje benzynowe. Prawie przy każdej stoi samochód, nawet w dobrym stanie, ale z karteczką: „Defekt!” Defekt jest z reguły poważny, skoro facet nie załatwił sprawy na miejscu, a wszelkie naprawy są piekielnie drogie, choć części można wyciągać ze złomowisk samochodowych.

Kolejny sposób — to ogłoszenia, najlepiej z pierwszej ręki, bez pośredników. Najlepiej kupować od Polaków, którzy zostają. W taki sposób kupiłem dwa fiaty dla siebie i dla brata, bo muszę tu dodać, że jego teściowa pracowała na samochód dla nich. Brat w Olsztynie, z wizą w kieszeni, czekał tylko na mój sygnał do przyjazdu.

Fiat dla mnie naraił zięć Marlany poprzez kierowcę ciężarówki z Hamburga, który rozwoził papier gazetowy po całych Niemczech. Był to trzyletni fiat, którym wyjechało młode małżeństwo z Myślenic. Razem z przejazdami do Hamburga i z powrotem, z ubezpieczeniem, kosztował mnie przeszło trzy tysiące z 5800, jakie zarobiłem. Za fiat dla brata dałem też trzy, ale był młodszy o rok.

Zadzwoiłem, żeby przyjechał. Wtedy on powiedział, że może być poruta, jeśli się okaże, że tamci właściciele zostawili w kraju długi państwo — wtedy mogą samochody zabrać na splatę. Spać nie mogłem tej nocy i następnej, ale już po jego przyjeździe dowiedzieliśmy się, że to nam nie grozi.

Resztę marek... Ciuchy, masa ciuchów, butów, chyba do końca studiów. Na granicy poszło bez kłopotów, ale już przed Lublinem — krach! Zartłem silnik! Okazało się, że olej był bardzo stary i było go za mało. Właściciel wiedział o tym, ale liczył, że jakoś wyjadę z Niemiec, reszta go nie obchodziła. Remont silnika z dodatkami będzie kosztował 34 tysiące. Ale mam samochód, masę ciuchów...

Tak, Bunsch namawiał do zostania, nawet chciał przesunąć swoje wcasy, jeśli zostaną. Obiecywał, że zawsze coś mi znajdzie, jak przyjadę...

Nie wiem. Ale raczej nie. Za bardzo dostałem w kość. To była piekielna szkoła życia dla mnie. Przecież ja nigdy przedtem nie pracowałem fizycznie, pochodzę z rodziny inteligenckiej. To wszystko bardzo mi się przydało, ale tego już nie powtórzę. Po prostu nie mógłbym jeszcze raz zebrać się w kupe, żeby przejść to jeszcze raz...

Notował: Henryk Pająk

listopad 1981

Polska w Lozannie

Mirosław Derecki

CO TO znaczy siła przyzwyczajenia, pomnożona o stabilność gospodarczą i polityczną kraju! Dr Stanisław Liberek umówił się ze mną w kawiarni Hotel de la Paix, bo właśnie tam zwykł od czterdziestu z górą lat pić kawę. Tam, też od czasów ostatniej wojny zbierają się Polacy zamieszkałe w Lozannie. Stanisław Liberek jest prezesem Towarzystwa Polsko-Szwajcarskiego, działającego w stolicy kantonu Vaud; w każdy pierwszy poniedziałek miesiąca, w godzinach popołudniowych, możecie spotkać grupę kilkudziesięciu osób dyskutujących w jednej z salek kawiarni Hotel de la Paix. Mówią po francusku, po polsku, albo obydwojma językami na przemian; są wszak wśród nich zarówno rodowici Polacy jak i rodowici Szwajcarzy są małżeństwa mieszane i ich dzieci urodzone już w Szwajcarii. Sam prezes żonaty jest ze Szwajcarką, jeszcze od przed wojny. W Lozannie notabene kontynuował przed wojną studia rozpoczęte w Polsce, tutaj robił doktorat, a w czasie wojny znalazł się ponownie w Szwajcarii, poświęcił się m.in. kulturowaniu tradycji przyjaźni polsko-szwajcarskiej. W swej drugiej ojczyźnie opublikował szereg prac na temat stosunków między obydwojma krajami. Ostatnio, w 1978 r., nakładem Editions „La Matze” wyszła jego kolejna książka: „Témoignages. Les Polonais et leurs amis suisses au Pays romand 1939-1945”. Owe „Świadczenia” dr. Libereka mają wartość dokumentu.

Hotel de la Paix leży w samym centrum miasta, przy szerokiej, spoglądającej z wysoka na Jezioro Genewskie, ruchliwej Avenue Benjamin Constant, nieopodal głównego placu Lozanny, ukoronowanego pięknym gotyckim kościołem — placu Sw. Franciszka.

Idąc na spotkanie z dr. Liberkim, zatrzymuję się na chwilę na tym placu, przed wystawą sklepu opatrzonego szyldem „Patek Philippe. A l'Émeraude. Bijouterie Horlogerie Joaillerie”. Za szybą zegarki, jakich oko nie widziało, o jakich ucho nie słyszało! A właściwie: czasomierze, o których słyszał, i o jakich marzy każdy posiadacz zegarka na świecie — słynne „patki”, fenomenalne, niepokonane „rolls-royce’y” sztuki zegarmistrzowskiej. Właścicielami „patków” są gło-państw i królowie nafty, bogate gwiazdy filmowe i wybitni politycy. Bywały czasy, że posiadali je także poeci. Na przykład — Aleksander Puszkina. Także niektórzy politycy. Na przykład — Józef Stalin. Najdroższe „patki” dochodzą nawet do ceny dwudziestu tysięcy dolarów albo i więcej. Gwarancję daje firma na sto lat, przez ten czas wszystkie naprawy — za darmo.

Sklep przy placu Sw. Franciszka w Lozannie jest tylko filią głównej siedziby słynnej firmy, mieszczącej się w Genewie. Tam to przed półtora wiekiem przybył z Polski imię pan Antoni Patek, oficer kawalerii, uczestnik Powstania Listopadowego. Kiedyś idea powstała w Szwajcarii „Hufoa Świętego”, złożonego z polskich oficerów — wychodźców, wzięła w łeb, gdy przysły nadzieje włączenia się do walki z Bourbonami znów osiadłymi na tronie Francji, pan Patek ostatecznie zawiesił szablę na ścianie i jał się rozglądać za jakimś niewojennym zajęciem. Los zetknął go z francuskim zegarmistrzem Adriensem Philippem, który wpadł właśnie na pomysł zrewolucjonizowania sztuki zegarmistrzowskiej; wymyślił oto sposób nakręcania zegarków kieszonekowych nie przy pomocy kluczyka, ale za pośrednictwem specjalnego, rowkowanego pokrętła wyprowadzonego poza obręb koperty.

I tak się zaczęło. Adrien Philippe reprezentował — jak to by się rzekło — „myśl techniczną”, a porucznik Antoni Patek, według zasady: „Polak potrafi” — niezwykle umiejętności handlowe na rynku ogólnoswiatowym. W efekcie dzisiaj my chlubimy się Patkiem, a Szwajcarii — dochodami, które od stu pięćdziesięciu lat przynosi firma jego imienia...

Ale to wcale nie Antoni Patek wiąże się z początkami stosunków pomiędzy Lozanną a dalekim krajem na północy. Pierwszeństwo w tej mierze należy do ostatniego króla polskiego, Stanisława Augusta Poniatowskiego, który prowadził długą korespondencję z tutejszym znakomitym lekarzem, Augustem Tissotem, namawiając go na przyjazd do Polski i zorganizowanie w Warszawie Akademii Medycyko-Ekonomicznej, a także państwowej służby zdrowia. Nic z tego jednak nie wyszło.

W marcu 1801 r. Lozanna po raz pierwszy witała w swych murach Polaków — bojowników o wolność narodu. Maszerowały tędy z południowych Niemiec ku Italii oddziały Legii Naddunajskiej prowadzone przez Sokolnickiego. W trzydziści lat później pojawili się nad Jeziorem Genewskim polscy patrioci, którzy związali swój los z Powstaniem Listopadowym. W 1839 r. katedrę literatury łacińskiej na uniwersytecie w Lozannie objął na rok Adam Mickiewicz. W połowie XIX w. działał w tym rejonie wojskowy kartograf Aleksander Stryński, wytyczając linię kolejową Lozana-Thörishaus. Kolej z Lozanny do Berna budował inżynier Wiktor Jun-dzillo.

Podobnie — po Powstaniu Syczeńnym. Na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych działała w Lozannie tzw. „gmina” istniejącego w tym kraju Ogniska Republikańskiego Polskiego przy Sojuszu Republikańskim Powszechnym. Istniała tutaj Gmina Lozanna szwajcarskiego oddziału Zjednoczenia Emigracji Polskiej. Na odbywający się w 1867 r. w Lozannie kongres I Międzynarodówki wydelegowany został m.in. przedstawiciel polskiego ruchu robotniczego; możliwe, że był to mieszkający wówczas w Genewie działacz, dziennikarz Józef Card-Cwierciakiewicz, utrzymujący kontakty z Karolem Marksem.

W drugiej połowie XIX w. osiedlił się w Lozannie, mieszkał i działał aż do samej śmierci w 1915 r., znany polski pisarz, uczestnik Wojny Ludów, komisarz Rządu Narodowego podczas powstania 1863 roku, pułkownik Zygmunt Milkowski, znany powszechnie pod literackim pseudonimem T. Jeża. To właśnie w Lozannie narodziła się w umyśle Jeża idea powołania do życia Skarbu Narodowego oraz Ligi Polskiej, która później, pod wpływem młodego przybysza z kraju Romana Dmowskiego, miała się przekształcić ostatecznie, ku rozgoryczeniu Jeża, w Komitet Narodowy Polski.

Lozanna i jej okolice stały się jedynym z centrów polskiej myśli patriotycznej wraz z osiedleniem się w niedalekim Morges, w 1897 r. Ignacego Paderewskiego, wraz z coraz częstszymi i dłuższymi pobytami w Montreux, Ouchy i Vevey — Henryka Sienkiewicza. Właśnie w Lozannie w 1915 r. powstał z inicjatywy Henryka Sienkiewicza, Ignacego Paderewskiego, Antoniego Osuchowskiego i J. Wierusza-Kowalskiego słynny Komitet Generalny Pomocy Ofiarom Wojny w Polsce, którego prezesem został autor „Potopu”. W tym samym roku zawiązała się w Lozannie Stowarzyszenie „La Pologne et la guerre”, któremu przewodniczył Jan Kucharzewski, a sekretarzem syn autora „Ogniem i mieczem” — Henryk Sienkiewicz. Warto też wspomnieć, że na początku dwudziestego wieku studiowała na uniwersytecie spora grupa Polaków, wśród nich młoda panna, która w przyszłości miała zasłynąć jako autorka Nocy i dni, Maria Dąbrowska. Działała tutaj koło „Strzelca”, mające także swoją sekcję kobiecą, a po wybuchu I wojny światowej utworzony został w Lozannie punkt werbunkowy do legionów. W roku 1936, w rezydencji Riond Bosson w Morges, należącej do Ignacego Paderewskiego, po spotkaniu wielkiego pianisty i byłego premiera rządu Rzeczypospolitej z gen. Władysławem Sikorskim, Wincentym Witosem i gen. Józefem Hallerem, narodził się tzw. Front Mor-

ges stojący w opozycji wobec rządów sanacyjnej w Polsce.

Nie była Lozanna nigdy tak mocnym ośrodkiem polskości jak np. Genewa, czy tak silnym skupiskiem studentów jak Zurych, Bazylea lub Fryburg, ale odegrała poważną rolę w stosunkach polsko-szwajcarskich.

Stanisław Liberek znalazł się w Lozannie po raz pierwszy w roku 1930. Po ukończeniu nauki w Wyższej Szkole Handlowej w Poznaniu uzyskał sty-



Dr Stanisław Liberek

pendium Funduszu Narodowego na kontynuowanie studiów w dziedzinie nauk społecznych na Uniwersytecie w Lozannie. Istniała tam słynna szkoła matematyczno - ekonomiczna, której doktorat liczył się w świecie. Za temat pracy doktorskiej Liberek wybrał badania dotyczące teorii profesora Vilfredo Pareto na temat „walki elit”. Sprawdzał ją na przykładzie ówczesnej Polski; rezultatem okazała się publikacja: „La circulation et la lutte des élites en Pologne”, wydana w 1936 r. w Szwajcarii.

Do wojny dr Liberek pracował u Starzyńskiego, w Zarządzie Miasta Warszawy, w tamtejszym Biurze Ekonomicznym opracowując plan podziału stolicy na dzielnice. Był żonaty ze Szwajcarką, którą poznał w czasie studiów w Lozannie, mieli dwoje dzieci, mieszkali na Saskiej Kępie.

W ostatnich dniach sierpnia 1939 r. por. rezerwy Stanisław Liberek został zmobilizowany. I września jego macierzysty pułk piechoty zbombardowano w Białej Podlaskiej. Jedną z bomb, które tego samego dnia Niemcy zrzucili na Warszawę, wpadła do pokoju dzielnicowego mieszkania Libereka na Saskiej Kępie. Na szczęście nie było tam już nikogo. Dwanaście godzin wcześniej, ostatnim pociągiem ewakuującym obywateli szwajcarskich, żona z dziećmi wyjechała z Polski. Porucznika Libereka nie opuszczalo szczęście: gdzieś pod Bilgorajem, niedługo przed rozwiązaniem pułku, zdołał jakimś cudem dojść do niego list wysłany z Warszawy przez żonę i zawiadaniający o wyjeździe z kraju. Odetchnął. Był teraz przynajmniej spokojny o los najbliższych.

Ten list zdopingował porucznika Libereka i później, już podczas ucieczki z obozu dla internowanych polskich oficerów na Węgrzech, do skierowania się ku granicy szwajcarskiej. Znalazł się w Szwajcarii jako jeden z pierwszych naszych oficerów, którzy dotarli tutaj wkrótce po wrześniu 1939 r. Swoje wrażenia z kampanii wrześniowej opisał w cyklu artykułów w „Gazette de Lausanne”. Przyszło mu to tym łatwiej, że szefem działu politycznego gazety był dawny profesor dr. Libereka na Uniwersytecie w Lozannie, wielki przyjaciel Polski, prof. Edmond Rosier, autor znanego dzieła „Historia polityczna Europy 1915-1919”. Te właśnie artykuły wzbudziły protesty niemieckie i spowodowały, że ówczesny ambasador Polski w Bernie, B. Komarucki, oraz attache kulturalny an-

basady, prof. dr. A. Bronarski, zlecił porucznikowi Liberkowi porzucenie zamiaru wstąpienia do tworzącej się armii polskiej we Francji, wskazując na konieczność działania na rzecz sprawy polskiej w Szwajcarii. Działalność ta okazała się szczególnie potrzebna wówczas, gdy w czerwcu 1940 roku granicę francusko-szwajcarską przekroczyły oddziały polskiej 2 Dywizji Strzelców Pieszych, dowodzonej przez generała Prugar-Ketlinga i w obozach dla internowanych znalazło się dwanaście tysięcy naszych rodaków. Dr Stanisław Liberek zaczął wówczas odwiedzać poszczególne obozy z odczytami na temat historii Szwajcarii oraz stosunków polsko - szwajcarskich na przestrzeni ostatnich stuleci.

Tymczasem Polacy, jak wszędzie w czasie wojny, uciekali z obozów. Uciekali w stronę granicy zachodniej, aby wstąpić, w podbitej Francji, do oddziałów tamtejszego ruchu oporu lub przedzierać się dalej, ku Wielkiej Brytanii, do polskiego wojska. Pomagało im w tym wielu Szwajcarów, a wśród nich słynny „Bernard”, doktor medycyny Oscar Forel, człowiek bardzo majątny, właściciel zakładu leczniczego w Prangins, kapitan armii szwajcarskiej. Dopiero w wiele lat po wojnie, należący do tego samego lozańskiego Towarzystwa Polsko - Szwajcarskiego dr Forel oraz dr Stanisław Liberek „zgadali się”, że kiedyś współpracowali ściśle ze sobą, nie wiedząc o tym — w akcji przerzutu polskich żołnierzy do Francji.

W 1942 r. powstało w Lozannie Towarzystwo Polskie. Wśród jego założycieli byli: A. Gołuchowski, dr Z. Gawroński, J. Jastrzębski i dr St. Liberek. Prezesem organizacji został L. Toeplitz, dyrektor włoskiego Banku Handlowego, który musiał w Szwajcarii szukać schronienia w związku z prześladowaniami rasowymi. Towarzystwo współpracowało z organizacją „Pro Polonia” we Fryburgu i z „Caritasem”, obierając sobie za siedzibę kawiarnię Hotel de la Paix. I tak już zostało na całe dziesięciolecie: Hotel Pokoju stał się przystankiem Polaków lozańskich. Działał też dr Liberek w latach wojny w „Paderewski Testimonial Found Inc.”, fundacji powołanej w Stanach Zjednoczonych po śmierci Ignacego Paderewskiego przez jego przyjaciół i wielbicieli.

A poza tym istniały w Lozannie — wśród wielu innych działających wówczas w Szwajcarii — organizacje założone przez obywateli Republiki Helweckiej, idące z pomocą Polakom.

Po wojnie, w związku z wyjazdem wielu Polaków, działalność Towarzystwa Polskiego w Lozannie zaczęła coraz bardziej zanikać. Powołał je na nowo do życia dr Liberek dopiero w 1975 r., już jako Towarzystwo Polsko - Szwajcarskie. Dzisiaj jest w nim 120 aktywnych członków, którzy zbierają m.in. pieniądze na pomoc dla rodaków w kraju. W 1981 roku w samej gotówce wysłali do Polski 3200 franków. Ale na przykład Zdzisław Pręgowski, architekt, były żołnierz Prugar-Ketlinga, działający w niemieckiej części Szwajcarii, ten dopiero rozwinął szeroką działalność, zaangażował do pomocy firmy szwajcarskie...

Siedzę w październiku 1981 r. nad filiżanką kawy na parterze Hotel de la Paix, słucham opowieści pana Stanisława Libereka. Skąd się to bierze, że Polacy mają taką siłę przetrwania, takie poczucie solidarności zawsze, gdy przychodzi na nich czas zagrożeń? Co kształtowało tych dzisiejszych panów po siedemdziesiątce, że się w nich do tej pory ogień nie wypalił?

Biorę z tobą ślub...

Dokończenie ze str. 1

Kiedy ruska armia była drugi raz u nas, w Stryjówce, oficerowie nakazali przyjąć Ukraińcom i Polakom, wyprowadzili nas do środka wioski. Mnie ze synem, na imię mu było Mieczysław. I wtenczas jeden oficer zawołał:

— Poliaki, ruki w wierzch!

Patrzyli my po sobie, po sąsiadach, Ukraińcach, ale podnosimy wolno ręce w górę. Potem on dalej mówi:

— Pajdiotie w polskuju armiju! Wasza armia u nas jest i budiecie aswabazdat siebie Polszu!

Ludzie jak to ludzie. Jedni cieszyli się, że pójdą na Hitlera, innym zaś było zostawić baby i te splachetki ziemi, jeśli który miał. Ruscy zaczęli wciągać do wojska i każdy wiedział, że ma obowiązek. Mnie zabrali do Sum. Tam, w Sumach, rozdzielenie było nas, gdzie kto ma służyć. Syn poszedł do Riazania. Ja zapytałem się naszego generała, świętej pamięci Karola Waltera-Swierczewskiego:

— Czy ja mogę iść z synem?

— Możesz iść.

Tylko, że syn wtenczas mi odradza:

— Tato, czego ty pójdziesz? Ty starszy wiekiem, bo na co ci tego wszystkiego? Po co? Tam będą cię męczyć cały rok. W szkole artylerii.

Alem źle zrobił, żem nie poszedł. Zawsze byłbym miał oficera i nauczyłbym się czego. Miałbym nad nim, nad Mietkiem, troszkę opiekę. I mnie...

My tak przesuwaliśmy się osiem dni do tego portu.

Mietek w swoją stronę pojechał, a ja w swoją. Przyjechali my do Kiwerc. Jak my jechali, to jeszcze bombardował nas Niemiec. Tak my i darli się strasznie, tak, bo my tego nie znali, wydawało się, że z nami już koniec. Nikt nie myślał, że może być gorzej i niebezpieczniej jak w tamte godziny. Rozdzielili nas po pułkach. Ja dostałem się do trzeciego batalionu siódmego pułku kołobrzskiego trzeciej dywizji pancernej im. Romualda Traugutta. Dostał się pod generała dywizji Stanisława Zajkowskiego i dowódcę pułku podpułkownika Rusjana. My w Kiwercach staliśmy cztery tygodnie. Niejeden w wojsku już był przedtem, to na co długie szkolenie, kiedy trzeba bić wroga?

I wtenczas zaraz ruszyliśmy na front, który już dość daleko od nas odszedł. Pod Warszawą była pierwsza potyczka nasza, na Saskiej Kępie. Później jeszcze walczyliśmy w Zaciszu, na Bródnie, w Rembertowie, Jablonnie i na Pradze. No, my na Pradze długo stali, aż żemy siedemnastego stycznia wzięli Warszawę. Defilada tam była uroczysta i tak my szli wśród gruzów, a miasto było puste i glucho. Zima była, wielka trybuna. Potem mnie ludzie pytali, czy kwiatów było dużo. A kto i skąd miał je nam pod nogi rzucić? Nie było kwiatów dla zwycięzców. Szli my, przybijali mocno butami po ulicy i radość taka była w nas, że każdy chciał doczekać, jak tak samo będziemy walić buciarami o bruki Berlina. To było w nas, bo to my przysięgali sobie i każdy chciał tej przysięgi dotrzymać.

Podchodzili my pod różne miasta. Aż przyszedł rozkaz, że idziemy na dwa tygodnie na odpoczynek. Przypadło to koło Ostródy. Cały pułk tam przyucupnął, żeby oddychać. Wielkanoc się zbliżała. Zabiliśmy świnię, zrobili kielbasy i święta tam urządzili. Przyszedł ksiądz kapelan, poświęcił nam jaja, kielbasy i mięswo. W każdym batalionie tak się starali, w całym pułku, a pewnie i w dywizji. I wtenczas sprit myśmy wzięli, bo chłopcy znaleźli sprit. Pytają:

— Szefie, czy by my nie wzięli tego spritu?

Ja mówię:

— Ja nie mogę sam wam zezwolić, dowódca może.

— Ty, Niewidziajło, co mnie pytasz, he? — dziwi się i śmieje dowódca batalionu podporucznik Piotr Pieńkowski. — Ty tu chadzaj, co im powiesz, to zrobiał!

— Chłopcy — mówię — weźmiecie manierki, nabierzecie spritu! — dowód-

mański został ciężko ranny wysoko w nogę i puścił dyszlowe konie. Poszły!

— Boże mój...! — ja mówię: Czym my teraz tę armatę będziemy ciągnąć? Konie mamy, ale do czego my teraz tę armatę doczepimy?

Traach! Strzelili. Czuję, że koń drgnął bardzo. Jak drgnął, to trafiony. Trzeba szybko skakać z niego. Na ziemię skakać, bo on mnie sam zabije. Będzie się wierzał, wywracał... to wszystko myślę przez małą chwilę i

— Odwoj, zarazaj! Ladować! Tam była komenda ruska, my się przyzwyczaili tak rozkazywać nawet wśród swoich.

— Kakiże?

— Bronibolie! Przeciwpancerne!

I wtenczas zaczynamy bić w tym kierunku, gdzie ten okręt był. We mnie była nowa zawziętość i przez to, że my do portu taki kawałek musieli iść aż tyle dni i jeszcze więcej przez tę wiadomość, co do mnie niedawno



Rys. Zbigniew Strzałkowski

ca zezwolił. Wypijemy szklanek jedną, dwie — dwie, trzy — trzy, nikt nikomu nie broni, ale żeby porządek we wszystkim był!

Bał ja się trochę, bo mogli my trafić na zatrutą. Zdrowy był, ale jeszcze lepsza trafiła się gratka. No, potem... Wchodzimy do jednego domu, obiad na stole stoi już gotowy. My przyszli głodne. Taaakie głodne! No, kommi Siada! Jedz! Niemiec je bez strachu, to my za chwilę także. I rum, znaleźli chłopcy w piwnicy rum. Zarazy wachają. Wynoszą beczuleczkę, niedużą, pięćdziesiąt litrów wszystkiego. Ale gratka, ale frontowe szczęście nas nawiedziło. Też smakować mu każemy.

A potem zaraz my już zaczęli siać. Bo każdy dowódca dywizji dostał pola, a pola, żeby uprawić i obsiać. Naszemu generałowi zostały pod opiekę przyznane pola ogromne. Wiosna szła. My już zaczęli siać jęczmień, owies, pszenicę jarą...

U nas, w Stryjówce, ktoś kiedyś powiedział, że w morzu woda słona jest. Ale wszyscy się z niego śmieli i mówili, że dobrze by było, żeby te nasze bagna miały słoną wodę, to by ją do garnka brać można i oszczędzić, nie kupować soli. Ale tamten mówił, że słona i słona.

Przychodzimy znowu na front, a tu do mnie krzyczy regulowszczyk, żeby jechać w lewo. Mgła była, nie nie widać. Skreślił my w lewo, kawałek ujechali. Niemcy strzelili do nas. Zaraz nam dwa konie padły. Bo mieliśmy konną artylerię. I ja siedzę jeszcze na koniu. Szymański i ja. Za chwilę Szy-

skacze, tak, na ziemię, a koń zaraz za mną. Uskakuje. Jeszcze się tam troszkę ruszył. Ja żem troszeczkę głowę podniósł zza niego, a tu mnie — kh! Ja krzyknął: — Ranny jestem! Od głowy jestem ranny! Ja się zaraz złapałem, o tak, ręką za głowę, zablizniło się, dobrze się zablizniło, ale wtedy ja nie wiedział co ze mną naprawdę jest i strach był we mnie wielki o życie. A tu strzelec wyborowy na mnie poluje, snajper gdzieś ukryty siedzi i mnie dobrze widzi, wie, gdzie ja jestem. Ooooo! — myślę — ja ci już głowy więcej nie pokażę! Skreślił ja się bliżej zabitych koni, poleżałem za nimi. Ja czulem się samotny i pod okiem tego snajpera. Po chwili pocisk upadł, tak i przysypało. Ja tam leżał, ja nie wiem, ile ja tam leżał. Tyle tylko wiem, że ruski żołnierz jakiś mnie stamtąd poderwał. Skąd on był, nie wiem, obandażował mnie i do połowego szpitala zadzwigał.

A ja na ten... na mur ochronny. Ja się podsuwam troszku, ale boję się, bo tam może gdzie siedzi Niemiec. Podsuwam się na kolanach, uważam, żeby tu czasem który nie podsunął się ku mnie za blisko. Ale słyszałem teraz wyraźnie, jak oni cicho pokrzykiwali: — Schnell, schnell, schnell!

Niby, że szybko, szybko, szybko! A ja myślę: — Czekać, ja wam zszelne, ja wam troszku dam! I podniosłem się tak zza tego muru i w to miejsce, skąd wiatr poprzez mgłę przynosił te słowa, puściłem trzy serie i uciekam do swoich. Przylatują do swoich żołnierzy i krzyczą:

przyszła i wnet mi rozum odebrała. Jeszcze lepiej dopilnowałem, żeby dobrze bić w to miejsce, gdzie my czuli, że jest ten wojenny okręt. Ale kanonierzy chcieli tego samego, bo pierwszy raz był przed nami taki cel. Nikt go we mgłę nie widział, ale on tam był. Przy molu, ladował jeszcze wojsko, bo słyhać to: schnell, schnell! Kriegsmarine tam jest!

Kiedy syn wrócił z Rosji, no, z tej szkoły oficerskiej w Riazaniu, gdzie ja sobie dał przez niego odmówić... I my rozpisywali się. On pisze: — Tato, Ty się nie martw, ja do Ciebie przyjadę. Przyjadę z dowódcą naszej dywizji do dowódcy waszej dywizji. My przywieziemy jednego za jednego. Zamienimy. I znowu będziemy razem.

I stanęliśmy na górze. Jeszcze przedtem to było, przed tym okrętem, co był potem na dole przed nami i który my chcieli ustrzelić jak jaką kaczkę, bo my jeszcze nie takiego wielkiego nigdy nie widzieli.

Nad ranem, ja się patrzę, naszych rannych niosą. Jak są ranni, to są i zabici. Ciężko jest, ale ludzie się trzymają. A ktoś mówi: — Tamoj w tym czerwonym domu jest snajper, psiajucha. On podszedł tak blisko popod ten wał do tego czerwonego budynku, albo tam pozostał i na nas zaczął. I jeszcze szczęście wielkie, jakżeśmy wyskoczyli, że my się o nim dowiedzieli. Tylko ten drugi, co ze mną, kanonier Bieńkowski, nie, on szczęścia

nie miał. A u mnie szczęście było. Dajnowski taczkę oporową akurat zamknął, bo byłby mnie ten snajper maszynowym karabinem po nogach już posiekl. Byłbym, jak nie, bez nóg. A jak raz poszło po tej taczce, jak raz on ją zamknął, kiedy jak grochem po niej tamten siekl karabinem maszynowym i wszystko się odbijało, rozpryskiwało. I my tam w ten czerwony dom z naszej armaty, bo ludziom żyć nie dawał ze zwykłego i maszynowego. Dom zaczął się palić, a tamten zamilkł. I poszliśmy w tym miejscu do wieczora, no, idziemy już na przedmieście Kołobrzegu. Ale strasznie drogi były zabarykadowane i zagruzowane.

Pisze: — Zamienimy. I znowu będziemy razem. Radość we mnie wielka.

Naraz nie ma listu. Piszę do niego. Za trzy dni mam z powrotem. Patrzę się — inny charakter pisania. Rozdzieram kopertę, chcę czytać — mój list w niej jest. Tylko tam dopisują mi jego kanonierzy, że Mietek został zabity. Ja sam nie wiedział, co ja mam robić. Czy się zabić mam, czy co? To jeden syn, jedyny syn! Jak w mur głową. Rozum odbiera ta boleść. Przyszedł major, zabrał mi rewolwer.

My w tych gruzach się okopali, a dowódca przybiega i wola:

— „Tygrys” wyszedł! Raz!

No, i my rzeczywiście wystrzelili do tego „Tygrysa”. Drugi pocisk chcieliśmy bić, i ten jeden kanonier już miał ładować. I załadował. Trzeci wziął do rąk, bo jeden podaje drugiemu. I naraz, aj!, i pada. I pocisk kładzie. Dajnowski, kapral. Ten, co przedtem zamknął taczkę i to uratowało mi nogi. Z ust krew mu troszku wyszła. Więcej nie. My dalej w tamtej chwili nie strzelali, złapaliśmy jego i zaraz tam do stodoły, co obok była, ale to już nic nie pomogło. Pochowali my człowieka i trzeba było iść dalej.

No i tak posuwaliśmy się. To były uliczne boje. Tam Niemcy, tu my, tu my, a tam znowu oni! My nacierali, a oni z domów. Wszędzie! Z suterynów bili!

My się przeciągali z działem przez jakiś ogród. Naraz słyszymy — Niemiec! Coś strasznie zaharkotało:

— Achtung! Achtung!

My już wiemy, co to jest: Uwaga! Uwaga!

— Kochani bracia Polacy!

Niemcy to mówili? Niemcy to mówili z okrętów. Ale to chwilę trwało. My te nasze maszyny puścili w ruch, nie można było nic więcej słyszeć. Samoloty poleciały nad morze. Wtenczas ten kościół się strasznie palił i na morzu się paliło. No, i my tak stali do rana.

Przyszedł major, zabrał rewolwer. Lekarz przyszedł, Szatkowski. Wziął mnie za rękę, tu, za puls i sepi się: — Może on dostał coś w głowę? Może już tego, może jest... Placz, człowieku, krzycz! A później znowu do mnie: — Wyśpij się. Będzie wszystko w porządku.

Ja tak leżał do samego rana i miał różne myśli. Dla kobiety straszna to będzie nowina. Z mego domu padło trzech braci i teraz syn jedyny. A ta karta pośmiertna jest, o, tu. Piszą, że go Niemcy okrzykli — na piętnaście metrów go okrzykli. Mógł może żyć, ale nie chciał się poddać. Pojechałem do jego pułku. Pogrzeb miał oficerski. To tylko boleść łagodziło, ale jej nie odejmowało. Nie odejęło do dzisiaj.

Straszliwy wiatr powiał. Mgła znad tej wielkiej wody, cośmy ją chcieli narzeczcie zobaczyć, jeszcze nie opadła. Naraz ja słyszę, że z tyłu ktoś za mną rozmawia. Ja oglądam się i patrzę. Za mną stoi marszałek Georgij Zukow. Przy nim nasz dowódca dywizji, generał Zajkowski, dowódca pułku — Rusjan i jeszcze jego zastępca Gałaganow. I patrzą się, jak my strzelamy do tego okrętu. Mgła już trochę rozrzędziła się. Widać go było tylko troszeczkę, jak lupinkę na tym morzu, co się nam teraz odsłaniało. I pyta po chwili marszałek, po moim meldunku:

— Kto to strzelał po okręcie pierwszy?

— Szef strzelał — kanonierzy wskazują na mnie.

Marszałek na to mówi do mnie po rosyjsku:

— Będziesz ślubował morze. Dzisiaj będziesz ślubował przed całym wojskiem.

Zapomniał ja już, jak to było po rusku, ale powiedziałem mu więcej w ten słowa:

— Panie marszałku, ja nie jestem silny w gębie. Może by ktoś za mnie przemówił.

A on do szefa sztabu:

— Pryniesi jymu sihu.

I ten szef sztabu poszedł. Przynosi dzban spirytusu gorzelnianego.

— Ka, daj mu czterysta gram! — nakazał Zukow. — Będzie miał siłę.

Nabieram śmiałości i mówię:

— Jak to będzie wyglądać, panie marszałku, żeby ja sam pił?

— Da, da! Pryniesi jeszcze krużku!

Przyniesli im wszystkim, mniejsze troszku, szklanki. Przepili my do siebie. Mnie jeszcze kazali nalać.

— Majesz papier?

— Maju.

— Masz ołówek?

— Maju — odpowiadam raz jeszcze.

Wtenczas nasz dowódca dywizji wręczył mi złotą obrączkę:

— Daję tobie godzinę wolności. Ty masz sobie wymyślić tę przysięgę.

Za trzy tygodnie zostałem znowu ranny. I naraz straszna strzelanina się zrobiła. Tak strzelają, strasznie strzelają! Nas wynoszą ze szpitala sanitariusze. Oficerowie dali rozkaz:

— Kto ma zdrowe palce, brać naboje, karabin i broń. Przyjdzie pomoc! Musimy walczyć, aż przyjdzie pomoc!

Nikt nie wie, co to jest, skąd to przyszło. A potem dziwnie się jakoś działo. Nasi ranni nie strzelali już nigdzie przed siebie, tylko w górę, darli się:

— To nie Niemce, to nasze! Nasze! Nasze! — dookoła wolano.

Przychodzi szef sztabu, Gasperowicz, i rozkazuje:

— Przerwać ogień! Przerwać ogień! Wynosić stoły! Krzesła wynosić! Rannych, nawet tych ciężko rannych, na powietrze!

A kiedy wynosili, wola do nas:

— Koniec wojny! Hitler skapitulował!

Taka nowina! Ludzie cieszyli się, płakali, dopadali do siebie, ściskali się jak dzieci. Skakali, chociaż ciężko ranni! Różnie... Jak po źniwie jakimś wielkim, jak na dożynkach, najpiękniejszych!

Marszałek i generałowie odeszli. I zostawili mnie samego. Ja chodził nad tym brzegiem Bałtyku i chodził. Niemieckich okrętów już nie było, a jak były, to te przez nas zatopione. Wiało mocno, zimno szło od morza, ale ołówek nie z zimna mi wylatywał z grubych paluchów. Nie z tego. Nie przyzwyczajona była moja ręka, nie zwyczajna była głowa do takiego myślenia. A tu już widać, że wszystko na rozkaz dowódców przygotowują do uroczystości ślubowania. Wpierw ja pisał na brudno, a później jużem ułożył sobie... i wtenczas... dobra. Czas iść.

Po mszy polowej w pierw do naszych żołnierzy przemówił marszałek Zukow, potem podpułkownik Rusjan, a później, zaraz po nich, ja — Franciszek Niewidziajlo.

Weszliśmy we trzech po kolana w morze ze sztandarem. Podniosłem obrączkę złotą, koledzy umoczyli kawalek sukna pułkowego sztandaru, a ludzie słuchali mojej roty, jak modlitwy. Mówiłem tak:

Przysiężmy tu, Morze, po ciężkim i krwawym trudzie!
Widzimy, że nie poszedł na darmo nasz trud.

Przysięgamy, że Cię nigdy nie opuścimy!
Rzucając ten pierścień w Twe fale, biorę z Tobą ślub,
Ponieważ Tyś było i będziesz zawsze nasze!

Tadeusz Jasiński

Rozmowę z Franciszkiem Niewidziajłą autor nagrał w 1971 roku, na kilka lat przed Jego śmiercią.

Tadeusz Chróścielewski

PRZYPOMNIANA

Nad nami burza. Burzy stworzeń
wnet w jawie ugrzązł i w smach tkwi,
bo niebo jak Czerwone Morze
zamknęło nas przybojem krwi.
Lecz przed tą burzą, w Kazimierzu,
półdzieci, za nie mając czas,
po wzgórzach pięciolinią ścieżyn
bez trudu sięgaliśmy gwiazd.

Wierzyłem: Krzysztof, kijem zbrojny,
cała przeniesie nas na ląd.
Mówiłem: gdzież?! Nie będzie wojny!
W myślach: Gołębiu ust jej zstąp!
Ławka pod zamkiem kazimierskim —
słońce w nas biło z armat stu.
Cały mój wyczyn — narzeczeński —
to... zem ci narwał wiąchy bzu.

Sledziłem bieg fal Grodarza —
gnaty w dal, czas i silny blask.
Ruch rąk nieśmiały cień powtarzał...
i cień na wodzie złączył nas...
Nastala burza. Tyś w nawale
jak żona Lota, gdy huk spadł,
została, patrząc w tył, na skale,
przeobrażona w biały kwiat...

Myśl dziwna nasza, gdy spojieram
dziś w nurt, gdy słońce strzela z kuszy:
Łatwiej czy trudniej jest umierać
komuś, kto posiadał sekret ust?
Patrzę na Grodarz. Przypomniana —
w pianach i czasie cień twój skrył.
Mknij bez ustanku biała piana...
Cień mój w nurt skoczył i mknij — w tył.

Kazimierz, 1981

ZRODŁO MIŁOŚCI W NAŁĘCZOWIE

Na wyspce pastuszek z brązu w czapce greckiej
gra na flecie bez dźwięku, a przez to serdeczniej.

Na ładowisku bliskim o zjeżdżonych skrzydłach
pegaz — wściekle kopiąca lataczy kobyla.

Przy palmiarni dwie panny zagubione w czasie:
buzia w ciup, ręce w maldrzyk, lecz spieszą w bezczasie,

gdzie z lufy lwiego pyska strzeliście wylata
celna woda, silniejsza niż Góra Armatnia.

Ow pysk-lufa ukryty za świątynką Feba
nie rani, lecz przychyła przechylnym nieba.

Aby niebo przychylić, lipy, lip podrostki
w miejscu marsz mkną w nałęczkach z herbu Małachowskich.

Z dala rycerz pod glazem i anioł rycerski
biegną, miast ostrym drągiem bósć leb lucyperski.

Zewsząd żółtokołtunne papuaskie chmury
zbiegają wąwozami z góry na pazury

i mkną na skrzydłach ważek w parcianych katankach
siostry swarliwe — Bystra i Bochołniczanka...

I tylko mąż nie spieszy z klombu granitowy —
choć ma w dole co trzeba, brak mu klepek głowy —

z nim i dynia kamienna z jeżowką karnacją,
jako że źródło-konkret, a ona — abstrakcją.

Wyznajmy, czym tak wabi — nas, pnie, muchomory
Zródło. Klucz to miłości, alias Fons Amoris.
Stamtąd woda źródłana, choć składnie zamknięta
na klódkę i na yalę (jak lew czy kos w prętach)
miota z paszczy lwotomordej chlust tak zamaszysty,
że serce bez ochyby zmienia w piec ogniasty.
Przez to właśnie lwiej paszczy miłe sercu chlusty
my, pnie, glazy smokczemy żarliwymi usty,
koń natchniony zaś pyskiem, ty — warg wartkich sił...
by się ewangelicznie bądź grzesznie pełniło
nakazanie miłości.

By pegaz pegaza
niecnym kopem kopyta odtań nie obdarzał,
by miłodrzewo, sokory i tulipanowce
w naszą ziemię wrastały, choć przybyły z obcej.
To źródło skarb nad skarby. Teraz zmieniam tenor:
Zeromski co dnia pijąc tę wodę bezcenną
w książki swe, chociaż płatne, lecz nieprzeplacone,
serce swe rozródzone wolał w „nie nasyczone”,
stąd Prus, iż przez pół życia usta w onej nurzył,
na miano — aj, niemodne! — „Serca serc” zasłużył.

KIEDY w styczniu 1975 r. „New York Times” opublikował krótką notatkę zatytułowaną „Komisja lotnictwa zaleca zwolnić majora, który zakwestionował system FAIL-SAFE” — nikt chyba jeszcze wówczas nie podejrzewał, iż tak zwana „sprawa majora Heringa” przyczyni się, już w marcu następnego roku, do zainicjowania przesłuchań prowadzonych przez Komisję ds Bezpieczeństwa Międzynarodowego celem wyjaśnienia dziwnego zachowania się byłego sekretarza obrony USA, Jamesa Schlesingera, w ostatnich tygodniach władzy prezydenta Nixona.

Na czym polegała wina majora Heringa — weterana z Wietnamu, a obecnie żołnierza obsługi raketowej Dowództwa Wojsk Lotniczych na najniższym szczeblu dowodzenia? Otóż pragnął on jedynie dowiedzieć się, jakie istnieją zabezpieczenia przed niekontrolowanymi wciśnięciem spustu atomowego. Chciał mieć tylko pewność, że zabijając swoją flotyllą pocisków 5 czy 10 milionów ludzi, uczyni to na rozkaz kompetentnego człowieka, a nie na przykład kogoś, kto mógłby wydać takie polecenie pod wpływem chwilowych fanaberii lub szaleństwa.

Gdy krążyły pogłoski o niezrównoważonym zachowaniu prezydenta Nixona, Schlesinger wystąpił do różnych hierarchii Dowództwa Strategicznego rozkazy, by informowano go o wszelkich „dziwnych” poleceniach prezydenta — chcąc prawdopodobnie przeciwdziałać w wypadku, gdyby szef próbował, dajmy na to, wydać rozkaz zombardowania Władawostoku, Pekinu, czy Izby Reprezentantów...

Od jakiegoś czasu wiadomo, że nie ma żadnych guzików w Pokoju Ovalnym Białego Domu, za których pośrednictwem można by bezpośrednio opróżniać silosy atomowe Gór Skalistych, Arizony, Colorado czy Południowej Dakoty. Znajduje się tam jeden telefon, przy którego pomocy prezydent USA jest w stanie uśmiercić 200 milionów lub nawet więcej ludzi.

Rozkaz pociągnięcia za spust atomowy prezydent może wydać m.in. wtedy, gdy w jego „czarnej skrzynce”, która nosi za nim wszędzie, nawet „na końcu świata”, jego adiutant — odczytuje odpowiedni sygnał nadany przez kompetentnego generała z Podziemnego Stanowiska Dowództwa Lotnictwa Strategicznego, znajdującego się na głębokości około 1200 metrów pod ziemią, wewnątrz wydrążonej granitowej skały, w pobliżu Omaha w stanie Nebraska.

W przypadku zniszczenia lub skutecznego u-nieszkodliwienia Kwatery Głównej Dowództwa Lotnictwa Strategicznego — SAC (Strategic Air Command) — wszystkie funkcje dowódcze, związane z prowadzeniem wojny nuklearnej, automatycznie przejmuje tzw. „Lustrzany Samolot”. Tę intrygującą nazwę kodową nadano Dowództwu Powietrznemu — jednej z nieustannie znajdujących się w powietrzu flotylli samolotów, krążących nad Środkowym Zachodem USA od lutego 1961 r.

Czy jednak nikt poniżej prezydenta USA nie może rozpocząć wojny jądrowej, zdecydować np. o próbie zombardowania Chin, ZSRR lub też obu tych krajów jednocześnie? Im większą władzę miałby w tym zakresie prezydent, tym łatwiej byłoby rozbroić cały arsenał nuklearny Stanów Zjednoczonych, usuwając po prostu prezydenta. Powinien więc chyba istnieć jakiś plan awaryjny, przewidujący tego rodzaju ewentualność, choćby z uwagi na konieczność tzw. uderzenia odwetowego?

Jednakowoż z dokumentu „PIERWSZE UŻYCIĘ BRONI ATOMOWEJ” — zapewnienie odpowiedzialnego dowodzenia i kontroli” wynika pośrednio, iż nie ma jasnego stanowiska co do mechanizmów przekazywania władzy konstytucyjnej w wypadku alertu atomowego wysokiego stopnia. Można jedynie tylko domyślać się, że w takich okolicznościach Komitet Szefów Połączonych Sztabów prawdopodobnie próbowałby konsultować swoje plany uderzeniowe z konstytucyjnym dowódcą, jakkolwiek wiadomo, iż w podobnego typu „sytuacjach podbramkowych” większość wojskowych woli raczej wpiąć atakować, a dopiero po tym, powiedzmy, uzgadniać swoje plany.

Od wariantu tego bardziej prawdopodobną wydaje się być jednak ewentualność, że dostosowano by się do wcześniej zaprogramowanych przez maszynę SIOP opcji ataku jądrowego i podanej przez nią listy celów. Co to jest ta „maszyna SIOP”, o której zarówno w fachowej literaturze strategicznej, jak i w kołach wojskowych mówi się z najwyższym szacunkiem, grozą i uznaniem, a jej wyroki otacza się delficką tajemnicą?

Otóż SIOP to skrót od Single Integrated Operating Plan — Zintegrowany Plan Operacyjny, czyli podstawowy schemat prowadzenia wojny jądrowej dla wszystkich Sił Zbrojnych Stanów Zjednoczonych, dokładnie wyznaczający, jakie pociski i samoloty mają atakować konkretne cele. Pod względem technicznym „maszyna SIOP” to wielki kompleks różnorodnych komputerów ulokowanych w najniższej położonych pomieszczeniach Podziemnego Stanowiska Dowództwa, który przekazuje komendy natychmiastowego działania dla każdego elementu ataku przewidzianego przez Zintegrowany Plan Operacyjny. Ta „ezoteryczna strategia” jest na jej strzeżonym sekretem w Stanach Zjednoczonych...

Tymczasem komputery nieustannie rozgrywiają między sobą szeroki wybór opcji celów nuklearnego, opartych na skomputeryzowanych grach wojennych, zakładających ewentualne reakcje radzieckie na posunięcia Stanów Zjednoczonych w wypadku zaistnienia nuklearnej „sprzeczki”. Próczona wartość gier wojennych prowadzonych

wewnątrz SIOP jest chyba o tyle niepełna, że maszyna musi walczyć sama ze sobą w swych własnych ocenach, zakładając wcześniej zaplanowane reakcje, które przecież nigdy nie zostają zmienione lub nawet całkowicie odrzucone przez odpowiednich dowódców podczas trwania kryzysu nuklearnego.

Tak więc w pewnych przypadkach i okolicznościach sterowanie wojną jądrową, przynajmniej z jednej strony, może zostać, w znacznym nawet stopniu, przejęte przez komputery.

W Kwaterze Głównej Strategicznych Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, wewnątrz dwu identycznych kabin, przed pulpitemi z kilkoma lampkami kontrolnymi, radiotelefonem i zegarem płatkowym siedzą dwaj oficerowie dyżurni, odcięci całkowicie od jakiegokolwiek kontaktu ze światem zewnętrznym. W środkowej części tych pulpitemów, obwiedzione czerwonym półotokiem, tkwią w otworach błyszczące mosiądzem klucze o okrągłych główkach, przypominające kluczyki od eleganckich apartamentów. Każdy klucz ma tylko pięć możliwych pozycji, ale przekręcenie ich z jednego położenia w drugie wymaga jednoczesnej akcji obydwu oficerów. Są to właśnie — używając terminologii wymyślonej przez dziennikarzy — „klucze do losów świata”. Ponieważ natura ludzka podobno zawsze jest ułomna, owe „klucze” powierzono dwóm mężczyznom, co podobno ma skutecznie

KLUCZE DO PIEKIEŁ

eliminować przypadek, spisek, żart oraz inne najfatalniejsze zbiegi okoliczności. Przekręcenie kluczy — zgodnie z ruchem wskazówek zegara — na pierwszą pozycję, oznaczoną kolorem niebieskim, sygnalizuje próbną alarmy. Drugie położenie odpowiada tzw. „alarmowi żółtemu”, który odnosi się do wszelkich niejasnych sytuacji, sugerujących ewentualność użycia taktycznej broni jądrowej. Może on trwać najdłużej 6 minut. Po tym okresie czasu sytuacja albo musi się wyjaśnić, albo też następuje przekręcenie kluczy jeszcze bardziej w prawo — na pozycję „alarmu zielonego”. W momencie, gdy klucze znajdują się w tym położeniu, wszystkie posterunki dalekiego rozpoznania, rozmieszczone na całym globie, zostają automatycznie podłączone do wielkiej mapy świata w Kwaterze Głównej SAC. Każdy przekazywany meldunek pojawia się na owej mapie w postaci plamki świetlnej, której intensywnością i barwą poświaty steruje komputer w zależności od stopnia zagrożenia.

Podczas „alarmu zielonego” obsługa wyrzutni raketowych stara się jak najszybciej dotrzeć do swoich stanowisk, a okręty podwodne pływające w długotrwałym zanurzeniu obierają kurs przewidziany na wypadek „W”. Siłniki dyżurnych bombowców zostają uruchomione, a dowódcy tych, które aktualnie znajdują się w powietrzu, otwierają zalakowane koperty i ich maszyny wchodzą na odpowiedni kurs. Jednocześnie uruchomiona zostaje specjalna sieć łączności centrów radarowych NORAD, stacji nasłuchowych, satelitów zwiadowczych i wojskowych satelitów telekomunikacyjnych, a wszystkie stacjonujące w USA i za granicą amerykańskie jednostki wojskowe przechodzą na nową częstotliwość. „Alarm zielony” może obejmować wojska Stanów Zjednoczonych stacjonujące na całej kuli ziemskiej, ale jedynie i tylko wtedy, kiedy ogłosi go Szef Połączonych Sztabów.

Położenie kluczyków — od zerowego do trzeciego — oznaczone jest na pulpitem oficerów dyżurnych białym łukiem, na którym widnieje wyraźny napis: P E A C E (POKÓJ).

Na prawo od tego łuku znajdują się jeszcze dwie pozycje, na które można przekręcić kluczyki, ale nawet Szef Połączonych Sztabów nie ma technicznej możliwości, aby to spowodować. Przesunięcia kluczy na czwartą i piątą pozycję można dokonać tylko wtedy, jeżeli zostaną uruchomione trzy niezależne od siebie ogniwa systemu rozkazodawczego. W czwartym położeniu kluczyki zatrzymują się, opierając się o gruby, stalowy trapez — w pozycji „alarmu czerwonego”. Jest to ostatni próg gotowości bojowej wszystkich jednostek wojskowych USA w kraju i za granicą, poza którym znajduje się już tylko wojna. Ową sworzeń, uniemożliwiający przekręcenie kluczyków w piątą pozycję, chwyciła się w głąb pulpitu wtedy, gdy dwa pozostałe ogniwa rozkazodawcze jednocześnie nadadzą odpowiednie sygnały. Wówczas kluczyki można obrócić jeszcze bardziej na prawo, w miejsce oznakowane jaskrawo-czerwonym łukiem i czytelnym napisem: W A R (WOJNA). Taka sytuacja zaistniała w SAC tylko raz: 22 października 1962 roku, podczas kryzysu karabskiego.

Jako że zwiedzenie Kwatery Głównej SAC jest dla „normalnego cywila” rzeczą równie łatwą, co zdobycie szczytu Mount Everest, poniższe dane, podobnie jak i poprzednie, nie mogą być zbyt precyzyjne, ponieważ nie pochodzą z tak zwanej „pierwszej ręki”... Podziemne Stanowisko Dowództwa Kwatery Głównej Strategicznych Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych jest zapewne (albo i nie) „schronem numer 1” świata. W każdym razie generał z SAC, Curtis Lemay, miał kiedyś powiedzieć, że: „każdy wojskowy, który zobaczy po raz pierwszy schron koło Omaha, czuje się jak licealista, który dorwał się do ilustrowanego magazynu małżeńskiego...” Próba wytopienia —

w oparciu o tę informację — jak właściwie wygląda schron koło Omaha, wydaje się rzeczą beznadziejną.

Wypada więc korzystać z danych pochodzących od nieco mniej kompetentnych ludzi, którzy zgodnie twierdzą, że wejście do tego schronu może wytrzymać bezpośrednie uderzenie głowicy o mocy do pięciu megaton. Są to więc z całą pewnością bardzo solidnie wykonane wrota, ale i za takimi w dzisiejszych czasach nie można chyba czuć się zbyt bezpiecznie. Jak stoł bowiem w „Raportie o zdolności bojowej radzieckich sił strategicznych” — Rosjanie mają „pociski dalekiego zasięgu o silnym uderzeniu dwudziestu megaton, duże, dokładności trafienia”. Za tymi drzwiami, odpornymi również na gaz i promieniowanie, znajdują się ma śluga, wąski, jasno oświetlony korytarz, łączący się bezpośrednio z podziemnym światłem nuklearnego systemu spustowego.

Na śródpiętrze znajdującego się tam niewielkiego, dwupoziomowego pomieszczenia mieści się ma Galeria Dowództwa Dowództwa Lotnictwa Strategicznego, w której centralnym miejscu umocowane ponoć obrotowe krzesło, zarezerwowane na czas wojny nuklearnej dla dowódcy SAC, nazywanego tu „CINSAC” (Commander in Chief of the Strategic Command). Z tego właśnie krzesła szef SAC może obserwować „wielką tablicę”, złożoną z sześciu dwupoziomowych plansz, i w oparciu o informacje ukazujące się na tej tablicy podejmie decyzje w czasie pierwszych decydujących minut wojny.

Bezpośrednio przed obrotowym krzesłem dowódcy SAC, na niedużym i niskim stoliku, stoją dwa telefony: czerwony i złoty. Ten ostatni przekazuje rozkazy Komitetu Szefów Połączonych Sztabów i polecenia Prezydenta Stanów Zjednoczonych; przy użyciu czerwonego CINSAC wydaje swoje własne decyzje.

Nieco poniżej, w tym samym dwupoziomowym pomieszczeniu, Sztab Operacyjny pracuje przy końcówkach komputerów i ekranach radarowych.

W jednym z rogów sali dowodzenia, izolowani od siebie i reszty świata pancerną szybą, siedzą w swych kabinach dwaj oficerowie dyżurni wpatrujący w znajdujące się przed nimi mosiężne „klucze do losów świata”. Warto tu przy okazji nadmienić, że z chwilą kiedy kluczyki znajdują się w położeniu „WAR”, Prezydent Stanów Zjednoczonych traci wyłączenie na dysponowanie mocą uderzeniową Sił Zbrojnych USA na morzu, lądach i w powietrzu. W praktyce oznacza to, że dowódca SAC może, już bez żadnych ograniczeń, dysponować rakietami najdalszego zasięgu i samolotami bojowymi mającymi na swych pokładach broń atomową wszystkich odmian i kalibrów. Jedynym elementem, który w pewnych granicach może zabezpieczyć jeszcze atomowy język spustowy z SAC, mogą być meldunki przekazywane przez Sztab Dowództwa Obrony Powietrznej Ameryki Północnej, który znajduje się na terenie stanu Colorado, gdzieś w głębi wydrążonej góry.

Na najniższym poziomie Podziemnego Stanowiska Dowództwa SAC, w zatłoczonym komputerami podziemiu, stajemy twarzą w twarz z wojną jądrową, prowadzoną nieustannie, w niezliczonych sądnich chwilach wewnątrz upiornych obwodów maszyny SIOP...

Gdyby zaistniał przepiętny kryzys i mosiężne kluczyki w Kwaterze Dowódczej SAC znalazłyby się w ostatnim, piątym położeniu, wtedy rozchyliłyby się ciężkie grodzie, kryjące we wnętrzu Ziemi olbrzymie transkontynentalne pociski Atlas, Titan i Minuteman. Następnie, w czasie około pół minuty, dźwigi ustawiłyby je w pozycji startu, a precyzyjne komputery wyliczyłyby kurs i cel. Równocześnie wielkie bombowce strategiczne u-niosłyby z pasów startowych swoje ciężkie kadłuby, za nimi wytrysłyby w niebo myśliwce, przyczajone dotąd gdzieś w zaroślach. Puste stalowe boksy barek desantowych i olbrzymich samolotów transportowych zaczęłyby się szybko napełniać komandosami. W mrocznych głębinach oceanów okręty podwodne starłyby się dotrzeć do tajnych akwenów, by oddać stamtąd swoje śmiertelne salwy. Precyzyjne, nieruchome żrniece wojskowych satelitów zwiadowczych spostrzegłyby, jak artyleria atomowa w Europie wysuwa z siatek maskujących swoje długie ryje...

Byłoby to właściwie stan wojny, choć jeszcze nie takiego by się nie działo, czego nie można byłoby odwrócić.

Nie działoby się nic — poza stanem najwyższej gotowości — dopóki nie zostałyby otwarte czerwone skrzynki, a dwaj oficerowie kierowania startem nie włożyliby metalowych kluczy w specjalne otwory, które dzieli dystans 3,5 metra. Aby doprowadzić do nieodwołalnego startu transkontynentalnych pocisków, ci oficerowie w niebieskich mundurach lotniczych i kolorowych szerokich apaszkach muszą jednocześnie przekręcić swoje klucze na pozycję „Start” i trzymać je w tym położeniu przez dwie sekundy. Przez owe dwie sekundy dwaj mężczyźni muszą być przekonani, że czynią słusznie zabijając miliony ludzi, których nie znają. Ale owi dwaj mężczyźni i ci, którzy są nad nimi, muszą też wiedzieć, iż nie tylko oni mają metalowe klucze. Klucze do piekieł...

Opracował Witold Wawrzonek

Pamiętne święcone

MINĘŁY dziesiątki lat od tego wydarzenia, bohatera od dawna przykrywała cmentarna ziemia, a wciąż jeszcze w Namulu, a może i w całej krasnobrodzkiej parafii, odżywała w okresach wielkanocnych wesoła gadka o tym, jak Maciej Kowalczyk, Kwiatonem zwany, ścigał się z księdzem. Szanse w zawodach były nierówne, bo proboszcz jechał bryczuszką zaprzężoną w parę tegich gniadoszów, a Kwiaton gonił za nim na piechotę, w dodatku z dużym koszem paski* na plecach. Toteż nie dziwnego, że duszpasterz był na mecie pierwszy. Ale i Kwiaton doszedł do niej, a uzyskane drugie miejsce to też sukces niemający. Niektórzy słuchają gadki dodają w tym miejscu uszczypliwość:

— Tak, Kwiaton zdobył w wyścigu drugie miejsce, ale tylko dlatego, że nikt więcej nie brał udziału w zawodach!

Wróćmy jednak do samego wydarzenia, które tak oto zachowało się w pamięci potomnych:

W Palmową Niedzielę z krasnobrodzkiej ambony proboszcz podał do wiadomości czas i trasę swojego przejazdu po terenie parafii oraz punkty, w których będzie święcił dary boże w Wielką Sobotę. Nie trzeba będzie z odleglejszych miejscowości zanosić paski do krasnobrodzkiego kościoła. Oszczędzi to ludziom sporo czasu i wysiłku. Przestrzegali: kto się spóźni na miejsce zborne, będzie musiał iść z paską do Krasnobrodu, gdzie ostatnie poświęcenie odbędzie się przed samym wieczorem w kościele, gdy on wróci z objazdu.

W Wielką Sobotę w całym Namulu ruch poranny był zwiększony, bo należało wcześniej przygotować paskę. Paska namulaków będzie właśnie święcona w pierwszym z wyznaczonych przez księdza miejsc — pod figurą pośrodku Kaczórek. Stamtąd proboszcz pojedzie do Bondyrza, Adamowa, Potoczka, Suchowoli, Hutkowa i przez Majdan Wielki wróci do Krasnobrodu.

Niektóre potrzebne do święcenia rzeczy Kaśka, żona Macieja, już wcześniej przygotowała, inne trzeba było sposobie jeszcze w ostatniej chwili, a następnie wszystko razem zebrać, ułożyć i przystroić. Brała w tym udział cała rodzina, choć pomoc dzieciarni polegała najczęściej na zaglądaniu, podziwianiu, dotykaniu, dopytywaniu. Więcej w tym było przeszkody niż korzyści. Cała więc robota spoczywała — wiadomo — na głowie samej gospodyni, choć kręciło się koło niej czworo drobiazgu, piąte wierzciło się w brzuchu i nie było jej lekko. Najstarszą Różią i młodszą od niej Jędrusiem można było już się trochę posłużyć; mała Józia musiała popilnować najmłodszą, dopiero raczkującą Marynkę. Zaniesienie paski pod figurę musiało przypaść samemu Maciejowi, który zresztą uważał, że tylko on ma dość siły, aby zdźwigać ją i przynieść z powrotem, bo święconego powinno być jak najwięcej.

Ta chęć, aby pokrojonego jądla było dużo, zdawała się być czymś nieodpartym; wynikała po części z mocno zakorzenionych religijnych i rodzinnych tradycji, ale miała też inną ważną przyczynę — niedostatek.

Przez cały boży rok u Kowalczyków, jak i u wielu innych namulaków, nie przelewało się. Zawsze trudno było wiązać koniec z końcem, zwłaszcza gdy przybywało w rodzinie gęb do żywienia, bo „co rok, to prorok”. Zywiono się więc tak, aby to jak najmniej kosztowało. Jadło się więc „w piątek i świętek” zalewając, kartofle z kwasem kapuścianym, kaszy jakiejś trochę; zagryzało się posolonym razowianem, którego nie raz, nie dwa na przednówku brakowało. Mieli krowinę, chowali trochę kur, ale nabiał i jajka Kaśka bardzo oszczędnie wydzielala. Ser, masło, jajka trzeba sprzedać, bo za cóż by można kupić soli, nafty, cukru szczyptę niekiedy, szmatkę jaką dla dzieciaków i coś tam jeszcze, bez czego nie można w domu się obejść. Hodowano świniaki, ale tylko raz w roku — przed godnymi świętami — mogli sobie Kowalczykowie poz-

wolić na zabicie wieprzaka. Musiało tego wystarczyć i na Wielkanoc i na później jeszcze.

Smaczniejsze i pożywniejsze jadło bywało u nich i wielu sąsiadów na święta. Wtedy dopiero mogli rozkoszować się jedzeniem, najeść się do syta. Może dlatego właśnie czekało się święt

reczka, jeszcze raz pod kamień, a następnie przypiekał się w gorącym piecu chlebowym na lipowej desce. Po ostudzeniu był rumiany, a w smaku nie lada specjal.

W koszu musiało znaleźć się pieczywo, a już koniecznie bocheneczek świętego, brązowo lśniącego, razowego



Rys. Zbigniew Strzałkowski

jak zmiłowania bożego, może z tej przyczyny nabierały one uroczystego charakteru nie tylko w kościele, ale i w rodzinnym domu. A już najbardziej czekało się na wielkanocne, jako że poprzedzał je długi, surowo przestrzegany, wielki post, kiedy nawet ziemniaka z omastą nie wolno spożywać. Często miseczka soloduchy, pieczonych kartofli i kromka posolonego chleba musiały wystarczyć na cały dzień. A w piątki wielkopostne i suche dni Kaśka nalegała, by w ogóle powstrzymać się od jedzenia. Na potrawy z mlekiem można pozwolić sobie tylko w niektóre dni tygodnia, bo w poniedziałki, środy i piątki byłoby to grzechem. Te wielkopostne rygory nie obowiązywały tylko małych dzieci i ludzi chorych. Czy można więc się dziwić, że Maciej przypomniał żonie:

— Pamiętaj, Kaśka, ma być dużo święconego!

Kaśka posłała Jędrusia po chrzan, Różię po gałązki. Marynce nakazała spokój. Zanim Maciej przyniósł odkurzony, upieczony z sosnowych korzeni, spory kosz, na stole leżało już немало różności. Trudno wyobrazić sobie Wielkanoc bez poświęconych jaj. Maciej chciał, aby było ich koniecznie pół kopy. Kaśka spełniła jego życzenie. Ułożyła więc mendel ugotowanych na twardo i starannie obranych z łupinek. Dziesięć następnych to śliczne pisanki, które Kaśka zdobyła jeszcze w Wielki Czwartek. Były czarne, lśniące i miały białe, żółte i zielone desenie. Na koniec wabiło oczy pięć kraszanek, każda w innym kolorze.

Drugie miejsce zajmował nabiał: spora osetka świeżego masła z deseniakami odcisniętymi drewnianą łyżką i dość duży podpiekany serek. Wyrabiany tylko na święcenie, stanowił specjalność Kaśki. Powstał ze zwykłego, podgrzanego i dobrze odcisniętego białego sera. Kowalczykowa dodawała do niego trochę śmietany, kilka surowych jaj, trochę kminku oraz soli i pieprzu do smaku. Wymieszany z przyprawami, szedł ponownie do serowego wo-

chleba ze znakiem krzyża świętego na wierzchu. Na dodatek babka z rodzynkami, wypieczona w glinianej foremce, po kawałku innych świętecznych ciast oraz pierogi. Zwyczaj nakazywał podawać do święcenia mięso i wszystko, co można z niego przyrządzić. Pyszniła się przede wszystkim pachnąca, świeżo uwędzona kiełbasa z wyborowej, marynowanej wieprzowiny. Maciej wędził w kominie, a dym nadający wędlinom zapach, barwę i trwałość pochodził z tłących się z wolna kawałków opalu z drzew liściastych i z zielonych gałązek jałowca, dorzuconych pod koniec.

Szynkę po uwędzeniu Kowalczykowa oblepiała żytym ciastem i opiekała w piecu chlebowym. Jej smak, zapach, miękkość i soczystość przewyższały wszystko, co można sobie wyobrazić. Do święcenia dodawano jeszcze po kawałku wędzonego i gotowanego lub pieczonego boćzku, surowej słoniny i gotowanej wołowiny. Dalej szły przyprawy.

Kiedy wreszcie wszystko, co potrzebne do paski, leżało na stole, gospodyni wyścieliła kosz czystą, linianą serwetą z kolorowymi wyszciami i frędzlami. Miała ją po matce i służyła jej na uroczyste chwile. W końcu przystąpiono do układania paski w koszu. Dużo było przy tym projektów i sporów. Nawet dzieci doradzały, jak zrobić to najlepiej. Na samym wierzchu znalazły się oczywiście jajka i kiełbasa. Kaśka ozdobiła całość zielonym barwinkiem i przypominała:

— Pamiętaj, ociec, postaw kosz z tej strony, z której ksiądz będzie kroił, a poodkrywaj wszystko, żeby się dobrze poświęciło. Potem pozakrywaj znów, jak ja teraz. A nieś ostrożnie, abys się gdzie nie wyrócił. Oj, mielibyśmy wtedy święcone: groch z kapustą!

Nazbierało się tyle wszystkiego, że taki kosz, jaki napelnili Kowalczykowie, nie byle kto mógłby unieść.

— Weź Maćku sukmanę — doradziła żona. — W parciance marżniesz. Na

początku kwietnia zimnych wiatrów nie brak, mógłbyś się — nie daj Boże — zaziębić. I to przed takimi świętami!

Usłuchał, poszedł w grubej sukmanie i sukiennej czworogrannej czapce z pomponikami. Na nogi wdział czyste onuce i świeżo uszyte chodaki. Wszystkie te przygotowania i gadki zabrały, mimo pośpiechu, dużo czasu, a tu ksiądz lada chwila mógł być w Kaczórkach. Popędził więc ze swoją paską — jak się to mówi — z kopyta.

Mimo to przewidywania, że może się spóźnić, niestety, sprawdziły się. Maciej prawie do figury w Kaczórkach dobiegał, gdy zobaczył, że ksiądz i organista już wsiadają na bryczkę, a ludzie zabierają się do odejścia. Niektórzy namulacy zagadali do niego:

— Oj, Macieju, spóźniliście się. I co teraz będzie?

Ktoś doradził, aby Kwiaton nie biegł za księdzem do Bondyrza, aby opuścił Adamów i szedł prędko — na skróty — przez Jacnię do Potoczka. Powinien tam zdążyć przed proboszczem, który musi się przecież zatrzymać przedtem we wioskach, które on, Maciej, opuści i pobiegnie na skróty. Usłuchał i z duszą na ramieniu, oraz z coraz bardziej ciężącym koszem popędził w kierunku Jacni.

— Chyba przecież zdąży — myślał. Ale od samego tego myślenia zaczęło mu się robić gorąco.

Dochodząc do Jacni, zasapał się i musiał na chwilę przysiąść. To go pewnie zgubiło. Od przechodzącej kobiety dowiedział się, że kto miał iść z paską do Potoczka, to już dawno poszedł. Podniósł się więc Maciej i przyspieszył kroku, nie wdając się w dalszą rozmowę, ale wnet dowiedział się, że ksiądz jest już na punkcie zbornym i kończy święcenie.

— Ej, Macieju, i co teraz będzie? — zapytał stroskany i zaraz samemu sobie odpowiedział: — No cóż. Jeszcze raz spróbuję. — I popędził z ciężarem — znów na skróty, ale tym razem do Suchowoli.

— Jakiż to los garbaty?! — monologował Kwiaton — gdy niedaleko od tej wioski wymięła go nagle księżowska bryczka. Teraz upewnił się, że proboszcz przed wieczorem nie dogoni. Pozostawało już tylko jedno: iść wprost do kościoła w Krasnobrodzie.

Zmęczony, szedł do parafialnej siedziby coraz wolniej. Gdy doczłapał do kościoła, zobaczył, że ksiądz dawno wrócił z objazdu, że wyprzedził go znacznie i już kończy poświęcenie paski. Ledwie Maciej wszystko z koszyka, co trzeba, poodkrywał. Znalazł jednak w sobie jeszcze trochę siły, podniósł plecionkę w górę i dowiekił się z nią do samych stóp proboszcza. Stracił równowagę i opuścił ciężar na podłogę aż jaja zastukały skorupa o skorupę, ale zostały się całe. Jeszcze szybko, ostatnim wysiłkiem, odsłonięta stronę kosza, odwrócił — jak Katarzyna nakazała — w kierunku święcącego, gdy zrozumiał, że na próżno, bo duszpasterz oddawał właśnie kropidło ministrantowi. Pewnie w tym zziązanym człowieku ledwie poznawał swoją parafialną owieczkę, jednak dostrzegł zawód w twarzy Kwiatonia, ulitował się jego doli, zrozumiał, o co mu chodzi, chociaż Maciej nie potrafił wykształcić z siebie nawet jednego zdania prośby. Słęgnął znowu po wlochatę narzędzie i obficie, tak hojnie skropił paskę Kowalczyków, że aż ci, co przyszli przed czasem, chłopu z Namula zazdrościli.

Sam Kwiaton, choć bardzo zmęczony i głodny, poczuł się niezwykle szczęśliwy. Wrócił do chaty z poświęconą paską. Nauczono go wierzby w przeznaczaniu, wyrażające się w powiedzeniu: „Co komu Bóg przeznaczył, to go nie ominie”. Widocznie więc taka była wola Boga, że go doświadczył, ale nie odebrał radości spożywania święconego. Swoją przygodę uznał za sprawiedliwą karę za grzechy, a trudny powrót, dopiero późnym wieczorem, za dalszy ciąg pokuty.

A pamięć wyścigu została mu do końca życia, została mu dłużej, bo i tam, gdzie potem zabrało go przeznaczenie, też mógł się z siebie dobitliwie naśmiewać. Jak jego sąsiedzi.

* paska — święcone

Wspominając Jana

ZAKŁAD zegarmistrzowski w centrum handlowo-usługowym przy ul. Wileńskiej, w osiedlu Słowackiego LSM: młodzi fachowcy rozczulają się nad „Omegą”, nad jej cudownie sprawnym i czystym mechanizmem, którego nie zdołała zmęczyć ponad trzydziestoletnia praca. Ten drobiazg z porysowanym szkieletem, z małym, kompletnie niemożliwym sekundnikiem zdaje się być w ich oczach uosobieniem piękna. Pytam więc ludzi wrażliwych, jak przyjmują to malowidło, szerokim fryzem pokrywające ściany nad drzwiami prowadzącymi na zaplecze kantorka.

— A co to ma być? Co to przedstawia? Remont przyjdzie, każemy za-

malować. Fakt, był tu taki jeden, z brodą, przyglądał się obrazkowi tak i siak, przekrzywił głowę, mrużył oczy i powtarzał: „Znakomite, wspaniałe”, a kiedy zaczęliśmy krytykować, powiedział, że się nie znamy. I poszedł. No powiedz pan, co to takiego przedstawia?!



Zakład jubilerski niedaleko: na wprost drzwi wejściowych, może trzy metry od nich, ściana z malowidłem, w którego centrum skłania się ukosem ku ziemi drzewo. U zegarmistrzów rzuciły się w oczy koncentrycznie komponowane tarcze, ale nie ulega wątpliwości, że to drzewo ukształtowała ta sama dłoń, bezbłędnie panująca nad płaszczyzną.

— Kto to namalował? Nie wiem — informuje pani pochylona nad prezejami.

— Tu jest gdzieś napisane — zza kotary wychyla się pan w roboczym ubraniu i wskazuje na dolny prawy róg pejzażu, odczytując: „Popko”, choć we wskazanym miejscu nieco inne nazwisko widnieje.

W tej zaś firmie, między jubilerem a zegarmistrzem, przewija się silniki elektryczne, naprawia żelazka, odkurzacze, pralki i inny sprzęt gospodarstwa domowego. Wysoko nad biurkiem, przy którym załatwia się klientów, rozpościera się szeroki fryz z czerwonymi zygakami, które wpadają w gęstwiny połakowanych i giętkich rurek, wyrastających z dolnych partii malowidła. Z zaplecza natychmiast wychodzi dwóch pracowników technicznych, uprzejmie pytając, czego sobie życzą.

— To?! To się panu podoba? A co to jest, co to przedstawia?! — dziwią się po zorientowaniu: w celu wizyty. A potem, z wyraźnym rozdrażnieniem, z nieukrywana pogardą mówią, że takie malunki każdy mógłby wykonać.

— Dziecko nawet, no może dzieciakowi farba pościelaby. Zresztą zamaluje się, choćby na czarno... Chcesz pan kotka? Pięć kotów pan miałeś? Na raz?!

Do rozmowy włącza się trzeci pracownik: w wieku nieco mniej niż średnim, z czarną brodą.

— Dla mnie ten obraz przedstawia narodziny życia na ziemi. Jest tu od 74 roku, a namalował go Popek. I dopóki ja tu będę, dopóki mnie stąd nie wykopią, nie pozwolę go nikomu ruszyć...

Jan zmarł mając 38 lat. Pozostawił po sobie obrazy i rysunki, które tra-

lowidła we wnętrzach czy na ścianach budynków użyteczności publicznej nie podlegają w praktyce żadnej ochronie prawnej i właściciel takiego obiektu — spółdzielnia wielobranżowa, gastronomia, zakład usługowy itp. — w każdej chwili, kiedy najdzie go ochota na remont, może dzieło zniszczyć, pokryć inną dekoracją. Owszem, artysta, który wykonał kompozycję, mógłby jej bronić przy pomocy prawa autorskiego, ale na ogół tego nie czyni w obawie przed ograniczeniem rynku zbytu na swoje prace i zniecierpliwieniem potencjalnego zleceniodawcy, nie mającego zresztą z reguły większego pojęcia o sztuce i o tym, co to takiego ciągłość kulturowa.

W rezultacie rokrocznie giną w kraju tysiące metrów kwadratowych fresków, autoryzowanych nierzadko przez artystów wybitnych. A konserwatorów zabytków, urzędowych opiekunów tradycji, nie to wszystko nie obchodzi, mimo że posiadają oni ustawowe możliwości umieszczenia takich realizacji w swoich rejestrach dzieł chronionych i odnawianych na koszt państwa.

Minęła (25 grudnia ub. r.) pierwsza rocznica śmierci Jana Popka, więc niniejszym zwracam się do Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków w Lublinie o rozpatrzenie możliwości wciągnięcia do owego rejestru malowideł ściennych artysty, które znajdują się na terenie Lublina: we wspomnianych zakładach przy ul. Wileńskiej, w spółdzielni krawieckiej, przy ul. Nadbyszczyńskiej 11, w sklepie „Fotooptyki” przy ul. Hanki Sawickiej, a także w lubartowskiej fabryce sprzętu radiowego i na budynku krańcickiego Urzędu Stanu Cywilnego (mozaika). O to samo proszę konserwatora zamojskiego, kierując jego uwagę na pracę Jana w tańszej spółdzielni „Metalplast”, oraz konserwatora wojewódzkiego w Chełmie, który powinien zainteresować się wielką mozaiką Popka w krasnostawskim domu kultury. Nie upieram się, że wszystkie te realizacje należy chronić z mocy ustawy. Jestem jednak przekonany, że niejedna z nich w pełni na to zasługuje.

Tymczasem pocieszam się, że poza urzędnikami są jeszcze ludzie, którzy przed malarstwem ściennym Jana mówią z determinacją: „I dopóki ja tu będę, dopóki mnie stąd nie wykopią, nie pozwolę go nikomu ruszyć...”

I J K

bitwę, więc chyba i nie-doktor może napisać wartościową pracę naukową”.

Nie ma co ukrywać: brzmiał to niezbyt skromnie.

Z książki Zbyszewskiego wybrałem kilka fragmentów dotyczących głównie sfery obywatelskiej i magnaterii z drugiej połowy XVIII wieku, tytułując te fragmenty: „Fahie nad przepaścią”. Dlaczego tak — tłumaczyć nie muszę. Cokolwiek by się powiedziało o książce Zbyszewskiego, traktowanej jako całość, ma on sporo racji, kiedy pisze w przedmowie: „Pol-ska upadła nie z powodu Katarzyny i Prus, lecz z winy Poniatońskiego, magnatów, biskupów i szlachty”. I dodaje: „Gdyby w XVII-tym wieku kler stał na właściwym poziomie, nie doszłoby do takiego rozpicia, nierobstwa, przedajności, podlenia. [...] Nie należy tego przemilczeć”.

Poczytajmy, pomyślimy traktując rzecz z dystansem — nie tylko czasowym.

I końcowa uwaga: w czasie II wojny światowej zarówno Mackiewicz jak Słonimski i Zbyszewski znaleźli się poza krajem. Do wywołanej Polski — w różnym czasie i po różnych przeżyciach — powrócili tylko dwaj pierwsi. Zbyszewski pozostał na Zachodzie. Znamienne.

M. A. Jaw.

ro doradztwa Niemcewicza umarło, ale do-da, że „fajnie w pielnosciach”. O Stanisławie Auguste niewiele ma więcej do powiedzenia niż to, że ręka jego była królewską, bo „zręcznie miętosila tłuste łono Katarzyny...”

Stanisław Mackiewicz i Antoni Słonimski... Co za rozbieżność opinii!

Oddam jeszcze głos samemu Karolowi Zbyszewskiemu, który w przedmowie do II wydania swej książki napisał m.in.:

„Sięczalem 7 lat nad tą pracą [...] przewertowałem stary rękopisów. Skromnie twierdzę, że mam dość wiadomości na napisanie pół tuzina rozpraw doktorskich. Nasłuchałem ich się dużo. Wiem jak powinny wyglądać: meeee — meeee — muuuu... coś pośredniego między sprośzaniem urzędowym a obwieszczeniem o licytacji. Pedantyczna dokładność, rozwiękłość, oschłość, zagmatwany styl, zupełne lekceważenie ewentualnego czytelnika — oto zasadnicze cechy. W rezultacie najgorliwsza narzeczona zasypia nad dziełem ukochanego doktora. [...]”

Jako zawodowy dziennikarz jestem przyzwyczajony pisać dla ludzi — nie dla myszy bibliotecznych. Zabierając się więc do napisania postanovałem napisać pracę doktorską, którą by ktoś jeszcze przeczytał oprócz profesora. Pierwszą część zamierzenia nie powiodła się. [...] Ale niedyplomowany generał może wygrać wielką

Całkiem odmienny pogląd miał Antoni Słonimski, pisząc na łamach „Wiadomości Literackich” w swym stałym felietonie („Kronika Tygodniowa”) tak:

„Wydawnictwo „Rój” zamieszcza na obwołanie małą charakterystykę utworu pana Zbyszewskiego: „Nie ma tu żadnego »odbrązawiania, polowania na sensację...« — pisze wydawca. Istotnie, trudno nazwać »odbrązawianiem« coś, co polega wyłącznie niemał na paskudzeniu, swintuzzeniu, obrzucaniu łajmem i wykoślawianiu ludzi i epoki. Istotnie, nie ma tu »polowania na sensację«, ale na każdej (przesada! — M.A.J.) stronie jest jakiś ordynarny i lubieżny kawałek erotyczny, zrodzony z wyraźnej chęci pozyskania sobie czytelników lasych na tani seksualizm. Posłuchajmy tego pietyw »zdrowia moralnego«. Pierwsze zdanie książki wprowadza nas od razu w atmosferę kłozetu i kawalerskiej bibliki. „Rażno wziął się do współpracy państwo Marcell i Jadwiga Niemcewiczowie, bo równo w dziewięć miesięcy po nocy poślubnej przyszedł na świat pierwszy owoc ich działalności — Julianek. Rodzice tak zasmakowali w robocie, że dorzucili mu potem jeszcze piętnastoro rodzeństwa”. Na każdej stronie znajdujemy takie ustępy. A raczej nie wychodzimy z ustępu, w którym pan Zbyszewski palcem na ścianie pisze historię tragicznego okresu Polski. Pan Zbyszewski pcha swą ordynarnością, gdzie się da. Nie powiść, że otmio-

K SIAZKA, której fragmenty chciałbym przedstawić Czytelnikom „Kamery”, (Niemcewicz od przodu i tyłu” Karola Zbyszewskiego), wywołała w 1839 r., przed wybuchem wojny, nie burzę, ale prawdziwy huragan. Rzadko kiedy można było w recenzjach spotkać tak krąco opinie.

W przedmowie do II wydania Stanisław Mackiewicz napisał o autorze:

„Karol (Zbyszewski) jest historykiem XVIII wieku polskiego. On te osoby, które dla nas są już poukładane w trumny, zna z bliska, on z nimi obcuje codziennie w studiach naukowych. [...] Karol nienawidził tych ludzi, którzy prowadzili Polskę do trzeciego rozbioru, i w tej nienawisści zwraca przeciw nim swój oręż satyryki. Karol — historyk reaguje na fakty, poznawane przez siebie z żywością Karola — dziennikarza. Książka ta jest oryginalnym anachronizmem, który polega na tym, że ma treść historyczną, a została napisana metodą żywej i ostrej polemiki dziennikarskiej. Książkę tę można także nazwać parodią historii, można ją nazwać »co o historii lat dawnych napisalby dziennikarz współczesny, drześniejszy felietonista polityczno-politczno-satyryczny«. A ponieważ tu w osobie Karola zbiegł się historyk o nie było jakiejś erudycji i dziennikarz pierwszorzędny, więc książka ta staje się lekturą wspaniałą, oryginalnym rarytasem dla ludzi o wyrobionym podniebieniu literackim”.

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski.

Redaguje Marek Adam Jaworski z zespołem.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. W sprawach literackich przyjmuje interesantów kierownik działu w piątki w godz. 13-16.

Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza RSW „Prasa — Książka — Ruch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie, ul. Jasna 6, tel. 255-30. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN w Lublinie, ul. Unicka 4. PL ISSN. 0137-7108. Nr indeksu 36251. Adres redakcji: 20-029 Lublin ul. Skłodowskiej 2/1.

Telefony: sekretariat, redaktor naczelny 255-93, sekretarz redakcji 218-93, dział publicystyki i literacki 275-35.

Korespondencje zwykle prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin I, skrytka pocztowa 231; polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

Zam. 422 R-4.

Taniec nad przepiścią

Fragmenty książki Karola Zbyszewskiego pt. „Niemcewicz od przodu i tyłu”.

Raźno wzięli się do współpracy państwo Marcele i Jadwiga Niemcewiczowie, toteż równo 9 miesięcy po nocy poślubnej, 16-go lutego 1758 r., przyszedł na świat pierwszy owoc ich działalności — Julianek. Rodzice tak zasmakowali w robocie, że dorzucili mu potem jeszcze 15-ścioro rodzeństwa.

Julianek urodził się w Skokach, pod samym Brześciem. Po paru latach jednak cała rodzina przeniosła się na drugą stronę Bugu, do Klenik, majątku dzianka Aleksandra, który zmierzony swymi 80-ciu laty chciał dokonać żywota prężując przy synie Marcelem.

[...] Główną troską pana Marcelego było utrzymywać dobre stosunki z Panem Bogiem. Do Wisły — 7 bitych mil — drałował piechotę, by się tamtejszej Matce Boskiej przypodobać. Pacierze klepał cały dzień. Rano, obchodząc gumna, mrucał różaniec, przerywając je no czasem dla dania w ucho leniwemu parobkowi; grając w marisza, szeptał litanię; wszyscy domownicy musieli śpiewać godzinki pod jego dyktando; w adwent zrywali się państwo Niemcewicze o święcie, po

dał kto inny, nawet o Grecji i mitologii nie wykladał ten sam. Spiewu uczył oczywiście Włoch, tańca Francuz — rozstawiał na podłodze drewniane formy, trzeba było w nie trafić nogami, fechtunku również Francuz — Raquillier, mistrz pruski fedfel; komendę wydawał on po niemiecku — i nie dziw, bo w polskim wojsku nikt wtedy nie słyszał o żadnych obrotach, za całą komendę stosowano okrzyki spod Płowiec i Grunwaldu: czuj duchu! naprzód wiara!

[...] Specjalna machina, sprowadzona zza granicy przez ks. Adama, demonstrowała za pokręceniem śruby obrót planet systemem Kopernika. Była to wielka nowość, bo w Polsce nie wierzono wtedy wcale w Kopernika.

[...] Zachęceni do nauki obfitymi moraliami, różną i plazem szabli — musieli się do niej kadeci przykładać.

Przed obiadem, składającym się z czterech potraw, czytywano kadetom regularnie prawidła bon-tonu przy stole: nie kłaść tyki wyjętej z ęby na półmisek; nie gnerać widelcem w zębach; nie wyjmować twardej kawałków mięsa z ust i nie rzucać ich na stół; nie wycierać nosa obrusem... Przepisy te były zasadniczo sprzeczne z manierami powozniczymi przyjeźdźcami, toteż stosowanie ich przychodziło kadetom z trudnością. Widelcem w lewej ręce nikt nie umiał operować.

[...] Do życia towarzyskiego zaprawiano kadetów od młodości. Teatr amatorski korpusu wystawiał co raz jakąś sztukę Czartoryskiego: „Panna na wydaniu”, „Gracj...” Pisanie tych sztuk niezbyt wyprzedzało księcia: chwycił pierwszy z brągu utwór francuski, tłumaczył na polski, zmieniał

ciemku ladowali z dziećmi w sanie i pędzili do kościoła w Brześciu, tam siadali w lawce z nogami w specjalnym futrzanym worku, Julianek zaś, że siedząc zasypiał, musiał kłęcząc godzinami w pobok ławki na zimnej, kamiennej posadzce. — Mamustu, czy w piekie są często rataty? — pytał z placzem.

W Klenikach było więcej księży niż w przelicznej katedrze. Przed opatem Rogalińskim dzieci musiały padać płackiem i calować go w nogę! Święty to był człowiek. Po obiedzie zasiadał z ojcem na ganek i strzelał do jaskółek z guldynek, każdy celny strzał solenizując pucharem węgryna. Przyglądał się do tych ćwiczeń i dziadek Aleksander ze swoim łukiem, co Sobieskiego pamiętał, ale nigdy nie trafiał, więc odmienił warunki i golił puchar po każdym pudle.

Jeszcze świętobliwszym mężem był ksiądz Oblonczyński — asceta, co się nawet na odpustach u Bernardynów nie upijał. Ciocia Bisia calowała ślady jego stóp w ogrodzie. Kazania miał tak płomienne, że spędzano na nie wszystkich Żydów z Brześcia w nadziei, że ich nawróci. Choć gadał po 6 godzin i wymachiwał trupią czaszką — Żydzi zostawali przy swoim.

[...] W życiu codziennym państwo Niemcewicze zdawali się we wszystkim na Pana Boga. Konokulał — skrapiali go wodą święconą, pomór świn — odmawiali w chlewie paciorek, burza się rozszalała — wykali Juliankowi dzwonek loterański w ręce i kazali biegać wokół domu, dzwoniąc zapamiętały Porucznik znanie już był na święcie, ale w Polsce więcej wierzą w świę-

tytuł, imiona osób i podpisywał się jako autor. Wysiarczało to zupełnie, by uważano go za świętanego komediopisarza, książę laskawie przyglądał się do tej opinii. Julianek, smukły, różowy na twarzy i nieśmiały, grał stale rolę kobiece.

Warszawa bawiła się ochoczo, o rozbiore mówili tylko zdecydowane prostaki — należało to bowiem do najgorszego tonu; dobrze ułożonych kadetów zapraszano skwapliwie na bale, menuet był bardzo trudny, brakło wykwalifikowanych hopkaczy, kadeci tańczyli go wybornie; chwaliły damy króla, że tak pożyteczną szkołę założył.

[...] Julianek lubił bale; oberzał się w bufecie, obtańcowywał panią, prawil im lekkawe komplementy. Umizgi te nie doprowadzały nawet do skromnej macanki. Prawdziwego flirtu nauczyła go dopiero żona dobosza, jedyna Rzepicha, która bezinteresownie uswiadamiła kolejno cały korpus; doboszowa pomy manewrowała, aż zgwałciła zgrabnego 16-letniego chłopca. Juliankowi bardzo się spodobała ta nowa musztra i oddawał się jej z wielkim zapętem.

W tymże czasie utracił niewinność i w literaturze — napisał poemat „Wojna kobiet”. Ks. Adam przejrzał te pierwociny, swoim zwyciężajem polecił większą pracowitość, rozwagę, staranność, ale, że miał słabość do poetów, patrzył na Julianka z coraz większą sympatią.

Latem 1777 r. edukacja została skończona. Julianek był zbyt inteligentny, by być prymusem — wyrzyło jego nazwisko nie na złotej, lecz tylko na srebrnej tablicy, podpisał abszty, król wręczył mu promocję, koleddy wysłiskali, mrucając

ce postawioną przed obrazem niż w kawałek drutu umocowany na dachu.

Gdy Julianek zachorował na ospę, biłsi sąsiad, podskarbi Flemming, przysłał swego nudworęgo doktora, sławnego Muellera; państwo Niemcewicze wyrzucili przez okno wszystkie lekarstwa, zamiast przepisanej kuracji — ofiarowali synka Bogu; skutek był momentalny, Julianek wyzdrowiał w zamian za co hasał przez rok i 6 tygodni w białym, dominikańskim habicie, z czarną myką na głowie, opasany szkaplerzem i różańcem. Przekładanie habitu nad lekarstwem nie zawsze dawało tak dobre wyniki — ośmioro Niemcewiczy fajtnoło w pieluszkach.

[...] Julianek miał już 12 lat. Alwara umiał na pamięć, tpey korepetytor, chory — ku zgorzzeniu pani Jadwigi — na trypra, przelał weń cały zapas swych niewielkich wiadomości, pan Marcele zaczął przebakiwać o oddaniu go do szkoły jezuitkiej. Książę Adam Czartoryski, z pobliskiego Wolczyna, zwrócił uwagę na ładnego, zawsze wesołego i dobrego chłopca, więc zaproponował:

— Oddaj mi go waszmość do korpusu kadetów.

— Kłedy ja bym chciał, żeby z niego wyrósł katolik.

Długo musiał perswadować ks. Adam, wreszcie, bojąc się narazić, obiecał pan Marcele dostarczyć syna do Warszawy.

[...] Po pięciodniowej podróży, 5-go sierpnia 1770-go roku, stanął w Warszawie. Julianek był zachwycony, nigdy nie przypuszczał, że mogą być inne domy niż drewniane.

[...] Korpus kadetów mieścił się w koszarach Kazimierzowskich na Krakowskim Przedmieściu.

sakramentalne: — Pamiętał, żeś miał honor być kadetem.

Julianek pojechał do domu.

W Klenikach zastał straszny bałagan; panu Marcelemu śniło się, że umrze wkrótce w Klenikach, aby więc uniknąć tak przykrego zdarzenia, przeniósł się z całą rodziną z powrotem do ciastnego, niewygodnego domku w Skokach. Sen był rzeczywistości proroczy, ziścił się co do joty — z małymi tylko zmianami: pan Marcele istotnie umarł, ale w trzydziści parę lat później i nie w Klenikach.

Radośnie powitali rodzice dorosłego syna niedzielnego z racji srogiej odległości (200 km!) od 7 lat. Zaraz nasunęło się pytanie: co z nim myślał mu ustąpić kawałka ziemi.

Książę Adam powrócił z Moskwy, gdzie skutecznie tuptał wokół Katarzyny w sprawie zwroczenia mu paru starostw leżących w rosyjskim zaborze, i zaprosił Niemcewiczów do Wolczyna; rodzina załadowała się do ogromnej gdańskiej karety (w Polsce od łózek do wódki wszystko pochodziło z Gdańska) i w asyście wozy z kuchnią, nieodwołnej w wyprawie aż o 30 wiorst, Bogu oddawszy się w opiekę — ruszyła w drogę.

W Wolczynie bawil Stanisław August; zawsze lasy na piękne kobiety asystował pani Jadwidze, wyłącznie z nią tańczył ku oburzeniu innych kwok. Pan Marcele rozumiał, że czyni to przez atencję dla znakomitego rodu Ursynów. Pani podczaszyna, nienawidząca dotąd Poniatowskiego za rozbiór, zmieniła zdanie i widziała w nim odład najlepszego króla.

Wnet zdjęto tam z Julianka żupanik, wymyto i przyodrano w czarne spodnie i czerwona katarżkę. Brydzki młody oficer o poważnym, lecz bardzo łagodnym wyrazie twarzy, raczej małego wzrostu, z ogromnym warkoczem naturalnych włosów związanych do pasa i przewiązanych czarną wstążką, zapytał go o nazwisko.

— Ursyn Niemcewicz Julian.

— No stary krewni, ja jestem Kościuszko Tadeusz, staraj się tu dobrze uczyć, bo wiedza to fundament człowieka.

Wkrótce Szwed — jak przezywano Kościuszkę ze względu na jego upór — wyjechał do Paryża. Stanisław August, ze zwykłym mu znanstwem ludzi, uznał, że nie nadaje się na nic innego jak na malarza i wysłał go na studia w tym kierunku. W korpusie było 60 uczniów; powinni byli płacić po 100 dukatów rocznie, lecz choć wszyscy synowie bogatych rodziców — nie placili ani grosza, rodzice uważali bowiem, że wielką łaską robią królowi, oddając swe dzieci do szkoły, której był kapitanem, i pozwalając mu tożyć na nią 300 tysięcy złotych rocznie, mogli przecież wybierać — w całej Polsce było podówczas aż 65 szkół!

Dookoła tych 60 uczniów kręciło się 40 nauczycieli (z czego połowa łożdziejów i durnie) oraz 60 osób służby. Trzeba było paniecom trzepać ubrania, zapinać guziki, specjalne baby od szorowania podłóg co sobotę myły im głowy.

Zrywał się Julianek na dźwięk pobudki o 6-jej rano, ubierał się musiał piorunem, bo było na to tylko 45 minut, potem maza św, potem 7 godzin lekcji. Do kaligrafii polskiej a francuskiej byli różni belfrzy, historię każdego państwa opowiada-

ł Ks. Adam oświadczył panu Marcelemu, że bierz Julianka na swój dwór.

— I nie oddamy go waszmościom wprzód, aż obżenimy — zapiszczała księżna Izabella.

— Ano wola Boska i księcia pana! — skłonił się pan podczaszyn.

Mocno zadowoleni z pozbicia się syna, wrócili państwo Niemcewiczowie sami na Skokow.

Czartoryscy spędzali lato w długim drewnianym domu wolczyńskim, to w starym, murywanym pałacu w bliskiej Różance. Ks. Adam był komendantem wojska litewskiego, Niemcewicza — który ukończył korpus w stopniu gifreytera, czyli wodza aż 4-ech kadetów — mianował swym adiutantem.

Funkcja ta nie przysparzała wiele roboty, w Różance był tylko oddział gwardii litewskiej sprovedzonej przez księcia dla wypróbowania nowych metod musztry. Rano, gdy była ładna pogoda, książę zasiadał na ganek i ćwiczył żołnierzy, ale nie znał ani starej, ani nowej komendy, gwardziści nie wiedzieli, która prawa, która lewa nogą, więc krótko wszystko zaplądowało się tak, że jedynym ratunkiem było pojsćcie na śniadanie.

Gości zawsze mnóstwo. Niemcewicz pokazywał im sławną bibliotekę różańską, uzbieraną przez nierównanego — w pięciu — hetmana Pocięja; z nabożeństwem oglądała szlachta wielkie oszkiełone szafy zapelnione pucharami w formie niedźwiedzi, kaczek, pistoletów, armat... Pięć z coraz innego pucharu uważano za taką rozkosz jak gwałcić co raz to inną kobietę.

(cdn)



Zbigniew Kuchowicz

Fragmenty:

[...] W opinii polskiej XV-XVII wieku krążyły uporczywe wersje na temat swobody erotycznej, ściślej zaś, rozwiązaności Litwinów. Opowiadano, że tam pozycje z cudzą żoną należy do zjawisk powszechnych, że z powodu oziębłości mężów żony trzymają sobie, za ich wiedzą i zezwoleniem, osobnych amantów, których jeszcze czasem oplacała. Jeden z nuncjuszów papieskich w czasach Winysława Jagiełły w urzędowej relacji podawał, że Litwini mają jakby oficjalnych kochanków, którzy występują jako "pomocnicy małżeństwa".

[...] Władysław Potocki wielokrotnie przedstawiał nam Litwini, kochające się gdzie popadnie, czasem nawet nie zważając na obecność osób trzecich.

[...] Litwa znajdowała się w polu oddziaływania innych (niż Polska) wpływów przede wszystkim ruskich. Jest zaś bezsporne, że kultura ruska cechowała większą swobodą erotyczną. [...] Źródłowe badania Juliusza Bardacha wykazały, że na terenach ruskich, wchodzących w skład Wielkiego Księstwa Litewskiego, w XVI wieku pośród wszystkich warstw spotykano się liczne wypadki współży-

cia bez ślubu kościelnego z tzw. żonami nie wieńczonymi, czyli nieslubnymi. Według powszechnych tam poglądów aktem rozstrzygającym o zawarciu małżeństwa był nie ślub kościelny, ale świeckie wesela połączone z pokładzinami. Na tych terenach przeprowadzano też wtedy rozwody, dopuszczane przez cerkwie, udzielane jednak przede wszystkim przez władze świeckie, które ciągnęły z tego finansowe dochody.

[...] Swobody obyczajowe Litwinów tych czasów pośrednio lub często bezpośrednio potwierdza tak ważne źródło jak statut litewski. Znamienne, że pierwszy statut z 1529 roku nie mówi o cudzołóstwie ani tzw. zwodnictwie. Dopiero drugi i trzeci wymierzał za to poczynania wręcz drakonickie kary. Schwytana na zdradzie małżeńskiej żona miała być, wespół z partnerem, karana sądowo, nie śmiercią. (Zdrada męża nie podlegała żadnej karze, chyba że miał stosunek z meżatką). Jeśli chodzi o zwodnictwo, drugi statut z 1568 roku głosił: "Wszystkie zwodnice lub zwodnicy dla utrzymania srogości i namawiania kobiet do rozpusty, cierpieni być nie mają owszem nos i uszy mają być takim ludziom oberżnięte, a gdyby jeszcze po otrzymanej karze takie popełniali, gardłem winy karanymi będą". Historycy XIX-wieczni uważali, iż wydanie surowych przepisów w drugim i trzecim statucie, tzn. w drugiej połowie XVI wieku, wynikało z rozluźnienia obyczajów.

[...] Biografia Barbary Radziwiłłówny zawiera wiele niejasności i tajemnic. Dotyczy to szczególnie czasów jej dzieciństwa i młodości. Wiemy na pewno, że urodziła się 6 grudnia zapewne w Wilnie. Data roczna nie jest pewna — do lat ostat-

nich podawano rok 1520, opierając się na rękopiśmiennym rodowodzie z archiwum nieświeckiego, który za wiarygodne uznawał m.in. najwybitniejszy do dziś znawca stosunków w kregu Radziwiłłowskim — Władysław Pociecha. Data była jednak dyskusyjna. Jedni historycy twierdzili, że Barbara mogła urodzić się w 1521, lub 1522 roku, inni uważali ją za starszą; sądzili, że urodziła się przed 1520 rokiem, a ostatnią datę podawano tylko ze względu na małżeństwo z urodzonym w tymże roku Zygmunt Augustem, czyli że Radziwiłłównę celowo odmladzono. W roku 1958 ukazała się "Genealogia Jagiellonów" Zygmunt Wdowiszewskiego, który w oparciu o znalezione w trumnie tabliczkę podaje, iż urodziła się w 1523 roku. [...] Data 1523 nie jest do przyjęcia. Przypuszczam, że Barbara urodziła się najpóźniej w 1520 roku. [...] Gdyby Barbara urodziła się w 1523 roku, to pierwszy raz za męża wychodziłaby w czternastym roku życia. Badania T. Czackiego wykazały, że zwyczaję późno, starolitewskie, żywo jeszcze obserwowane w Wielkim Księstwie, stała wyższą barierę wieku przy zamążpójściu, niż czyniły to, ulegające wpływom pokądniowym, rzymskim, zasady obowiązujące w Polsce. [...] Źródła współczesne, łącznie z paszkwilami, nigdzie nie podają, by Barbara była wyjątkowo młoda w momencie pierwszego zamążpójścia. [...] O srobowym prowadzeniu się Barbary informowano już w 1537 roku, gdyby więc urodziła się w 1523 wiadomości dotyczyłyby niespełna czternastoletniej dziewczyny. Wątpliwe jest, by w tak młodziutkim wieku miała już czas przeżyć osławiające ją przegody.

[...] Barbara urodziła się z ojca Jerzego i matki Barbary, pochodzącej z małopolskiej rodziny Kolorów. Ojciec w chwili jej narodzin liczył około 40 lat, matka około 22. Pod względem genetycznym córka ich wyposazona została korzystnie. Radziwiłłowie, jak wiemy byli wtedy rodem młodym, pełnym sił biologicznych. O chorobach ojca czy rodzeństwa bliźszych danych nie posiadamy, w każdym razie nie występowały u nich przejawy degeneracji, które zaciążyły tak fatalnie nad dziejami różnych rodzin arystokratycznych, nie tylko zresztą polskich. Jej genotyp wskazuje na duże możliwości rozwojowe tak w sensie psychicznym jak somatycznym. Pod oboma tymi względami dziedziczyła więcej po matce, znanej z urody i zalotności. Nic nie słyszymy, by matka Barbary cierpiała na schorzenia, nie mówiąc już o występowaniu jakichś defektów fizycznych. Przedwczesna jej śmierć nastąpiła na nieznanym tle, miało to zresztą miejsce znacznie później. Wszystko wskazuje, że w okresie dzieciństwa i młodości Barbara była osobą najzdrowszą i młodsza w pierwszym pokoleniu, którego rodzice są różnej narodowości, występuje heterozja, czyli zjawisko bujności rozwoju. Barbara urodziła się z rodziców nie spokrewnionych ze sobą, należących właśnie do dwóch narodowości. Była przecież córką Polki i Litwina.

[...] Urodziła się i wyrosła Barbara na terenach słynnych nie tylko z pięknych krajobrazów, lecz także ze zdrowego klimatu, silnie zadrzewionych, pełnych zieleni. [...] Rezydencja Radziwiłłów w Wilnie, a także inne ich dworce i zamki były okaza-

niemi fenomenem polskiej tolerancji, który stanowił wtedy niespotykane oddziaływanie z czasem na kulturę światową zjawisko.

[...] Należy mocno zaakcentować, że obce jej było okrucieństwo. Jakaśkolwiek chęć fizycznego czy moralnego pastwienia się nad ludźmi. Tkwiła w niej łagodność, odrzała do stosowania gwałtu i przemocy. Nie wyszła na stos żadnej "czarownicy", nie katowała sług, nie splamiła się ludzką krwią a była przecież wielką damą, od jej woli czy kaprysu zależało tak wiele. [...] Stojąc się do owczesnych zwyczajów, brała udział w łowach, nie raz jej widok ginącej zwierzęcy.

[...] Bez wątpliwości posiadała uzdolnienia i wrażliwość estetyczną, przejawianą m.in. w doborze strojów, w lubowaniu się w pięknych wyrobach, które później ofiarowywała na przykład Zygmuntowi Augustowi, znanemu przecież koneserowi. Twórco jednak na polu kultury nie działała, nie zasłynęła także mecenasowaniem.

[...] Wiadomo, że nasza bohaterka była najmłodszym dzieckiem w rodzinie, oraz że miała starszego brata Mikolaja i siostrę Annę Możliwe, iż by- ło także inne rodzeństwo, zmarłe w niemowlęctwie czy wczesnym dzieciństwie; źródła na ten temat nic nie mówią. Wiele faktów wskazuje, że pozycja Barbary w rodzinie była silna, może nawet uprzywilejowana, przynajmniej w stosunku do siostry. Nosiła imię matki, odczano ją troską, dobrze wyposazono i wydano za mąż wczesniej niż starsza siostra. Także później, podczas jej wdowieństwa, Barbara opiekował się brat oraz matka.

W. Ł.

[...] Nad wychowaniem domowym Barbary, a innego nie otrzymała, czuwała matka, jest jednak pewne, iż edukacją kierował jakiś nauczyciel, można domniemywać, że Polak, prawdopodobnie przybyły na Litwę z orszakiem matki. Gdybyśmy zdołali zidentyfikować tę postać, wiele spraw związanych z osobowością Barbary zostałyby bez wątplenia wyjaśnionych.

[...] W dzieciństwie wpojono naszej bohaterce zasady katolicyzmu, przykładem religijności był dla niej ojciec Księżę, nawet biskupie suknie nosiła jej krewniacy. Od młodości była też praktykującą katoliczką, uczeszała na nabożeństwa kościelne i spowiadała się, ale ani we wczesnej młodości ani później nie przejawiała dewocji. [...] Znamienne, że nie raz jej religijne nowatorstwa otoczenia. W latach późniejszych sekretarzem i dworzakiem będą przy niej skryci lub jawni "heretycy": katwini, luteranie. Stąd wniosek, że reprezentowała postawę zdecydowanie tolerancyjną, dystansując się od uprzedzeń i nienawiści powstających na podłożu różnic w wierze. Wychowana z dala od centrów kulturowych ówczesnej Europy, doskonale reprezentowała i urzeczywist-

niawet łacina była jej zupełnie obca, stąd później w oficjalnych powiatach jako małżonki królewskiej zwracano się do niej wyłącznie po polsku. Język polski opanowała jednak doskonale. Pozostawione w autografach listy świadczą, że władała nim pięknie. Pisała więcej niż poprawnie, potrafiła jasno a równocześnie barwnie przetransmitować swe myśli i uczucia na papier. Można twierdzić, iż tak inteligentnie, świetnie nie potrafiła pisać jakaśkolwiek inna kobieta jej pokolenia.

[...] Nad wychowaniem domowym Barbary, a innego nie otrzymała, czuwała matka, jest jednak pewne, iż edukacją kierował jakiś nauczyciel, można domniemywać, że Polak, prawdopodobnie przybyły na Litwę z orszakiem matki. Gdybyśmy zdołali zidentyfikować tę postać, wiele spraw związanych z osobowością Barbary zostałyby bez wątplenia wyjaśnionych.

[...] W dzieciństwie wpojono naszej bohaterce zasady katolicyzmu, przykładem religijności był dla niej ojciec Księżę, nawet biskupie suknie nosiła jej krewniacy. Od młodości była też praktykującą katoliczką, uczeszała na nabożeństwa kościelne i spowiadała się, ale ani we wczesnej młodości ani później nie przejawiała dewocji. [...] Znamienne, że nie raz jej religijne nowatorstwa otoczenia. W latach późniejszych sekretarzem i dworzakiem będą przy niej skryci lub jawni "heretycy": katwini, luteranie. Stąd wniosek, że reprezentowała postawę zdecydowanie tolerancyjną, dystansując się od uprzedzeń i nienawiści powstających na podłożu różnic w wierze. Wychowana z dala od centrów kulturowych ówczesnej Europy, doskonale reprezentowała i urzeczywist-

zale i przestronne, nie brakowało więc Barbarze wygod na jakie mogli sobie pozwolić wtedy tylko ko najzamożniejsi. Komnaty pałacowe wykładane były kobiercami, w jej sypialni spotykamy koldry i poduszki ze złotogłowi. Szafy i skrzynie młodej panny pełne były sukien i kosztownych szat. Najcenniejsze stroje i bajecznie droga bielizna pościelowa służyła raczej od święta. [...] O pozycji społecznej, dostatku, w jakim żyła Barbara, świadczy też rejestr rzeczy, które otrzymała w 1537 roku, posługując Stanisława Gasztołda. Rejestr ten wymienia mnogie srebra: misy, talerze, łyżki, kubki, czary, licharze. Naczytnia te i sprzęty często były złoczone, a pośród nich uwagę zwraca "należka z miednicą z pozłotą". [...] Ojciec wyposażył ją w cenne klejnoty, pośród których znajdowały się łańcuchy, pierścienie, perły. Otrzymała też 24 konie przyuczone do ciągnięcia jej karet i powozów, tak zwane woźniki. [...] Barbara wchodziła więc w dom mążowski jako wielka, strojna pani przyzwoita, nie tylko do wygód, lecz i przepychu.

Nie wiemy dokładnie, co jadła Barbara, badania historyczne dostarczają nam jednak wiadomości, jak odżywiają się moiżni ówczesnej doby, do których się przecież zaliczała. Stoły ich uginają się zawsze pod przepięknie zaliczającymi się ogromnymi ilościami mięsiami, rybami, stągwiami z piwem i miodem. [...] Na stołach pańskich podawano w tym czasie takie przysmaki, jak surowe i pieczone owoce, w tym polodniowe, np. rodzynki, migdały, figi. Kuchnia magnacka korzystała z rozmaitych przypraw, które ceniono tak ze względu na smak, jak i leczniczych.

W. Ł.

[...] Nad wychowaniem domowym Barbary, a innego nie otrzymała, czuwała matka, jest jednak pewne, iż edukacją kierował jakiś nauczyciel, można domniemywać, że Polak, prawdopodobnie przybyły na Litwę z orszakiem matki. Gdybyśmy zdołali zidentyfikować tę postać, wiele spraw związanych z osobowością Barbary zostałyby bez wątplenia wyjaśnionych.

[...] W dzieciństwie wpojono naszej bohaterce zasady katolicyzmu, przykładem religijności był dla niej ojciec Księżę, nawet biskupie suknie nosiła jej krewniacy. Od młodości była też praktykującą katoliczką, uczeszała na nabożeństwa kościelne i spowiadała się, ale ani we wczesnej młodości ani później nie przejawiała dewocji. [...] Znamienne, że nie raz jej religijne nowatorstwa otoczenia. W latach późniejszych sekretarzem i dworzakiem będą przy niej skryci lub jawni "heretycy": katwini, luteranie. Stąd wniosek, że reprezentowała postawę zdecydowanie tolerancyjną, dystansując się od uprzedzeń i nienawiści powstających na podłożu różnic w wierze. Wychowana z dala od centrów kulturowych ówczesnej Europy, doskonale reprezentowała i urzeczywist-

cras. 2552/1982/1